POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 26-go lutego 1944r.** **Rok VI. Nr. 8**

"Z ZIEMI WŁOSKIEJ..."

Nie po raz pierwszy żołnierz polski stoi na włoskiej ziemi i nie po raz pierwszy się wybiera z ziemi włoskiej do polskiej. Przecież tam, "na lombardzkim polu" powstały w styczniu 1797 roku legiony Dąbrowskiego, "posiłkujące Lombardię" przeciw Niemcom i tam "dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy." Kiedy zaś zawarł rozejm z Austriakami w Leoben i bataliony legionowe musiały zawrócić w marszu ku Ojczyźnie, kiedy rozpacz ogarniała ich szeregi, instynkt kazał im wytrwać w obcej służbie na obcej ziemi, by nie zerwać sojuszu z "Wielkim Narodem" francuskim, instynkt, który mówił, że "jeszcze Polska nie umarła," pokąd żyje wojsko polskie.

Latem tegoż roku — gdzieś w lipcu — zabłysła im nadzieja. Zanosiło się na zerwanie rokowań, na odnowienie się wojny. Były jakieś projekty wyprawy przez Adriatyk na Bałkany i zdawało się, że "dla Ojczyzny ratowania wrócim się przez morze." Były wieści o Kościuszce, że uwolniony ze srogiej rosyjskiej niewoli, że w drodze na zachód, że może przybędzie. Wracało wspomnienie Racławic i kos racławickich i radość się budziła, że "Kościuszkę Bóg pozwoli" i nadzieja wsparcia powstającego kraju, wizja zapłakanego ojca, który mówi do swej Basi o wracającym wojsku narodowym.

A wszystko to ujął stary, poczciwy Wybicki, niegdyś konfederat barski, w nieśmiertelne a dziwnie proste słowa "Mazurka Dąbrowskiego," który stał się z czasem naszym hymnem narodowym. A przez to pokolenia całe naszego narodu od dzieciństwa wiązały z ziemią włoską czyn polskiego żołnierza i jego drogi tułacze w przerywanej wielokrotnie wędrówce, mającej "złączyć go z narodem" — ku Wiśle i Warcie.

Nadzieje ówczesne — z lipca 1797 roku — zawiodły. Październik przyniósł straszne rozczarowanie — pokój w Campo Formio. Ciężki ten cios przetrwali. Pozostali jako "Legie Auxyliarne Republiki Cyzalpińskiej," służąc zbrojnie interesom francuskim we Włoszech, a krzepiąc się wiarą, że służą sprawie wolności, "która jest jedna i niepodzielna." Na razie podbijali państwo papieskie a 3 maja 1798 roku uroczyście wkraczali do Rzymu. Może niedługo wkraczać będzie tam znowu żołnierz polski, tym razem w prawdziwych armiach wyzwolenia, oswobadzających Wieczne Miasto od barbarzyńskiego najeźdźcy.

Niektórzy wstąpili wtedy do wojska Republiki Rzymskiej, ale niewiele wyszło z tego wojska i z tej Republiki. Obie Legie — osiem batalionów piechoty z artylerią — uzupełniały swą organizację, wyszkolenie, wytwarzały nowe w wojsku polskim formy życia wojskowego, polegające na braterstwie łączącym wszystkich, od szeregowca do generała, na podnoszeniu chłopa-szeregowca, byłego austriackiego żołnierza, wydobytego z francuskich "pryzonów" na poziom wolnego-obywatela i świadomego bojownika wielkiej sprawy.

Właśnie Kościuszko stanął w Paryżu. Śpieszyły obie Legie oddać sie pod jego moralne zwierzchnictwo. Z czułością odpowiadał im Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej. Mówił im, że są zawiązkiem wielkiej armii polskiej. Że ich zadaniem "ponieść dar wolności Ojczyźnie i udział światła współziomkom." Że mają żyć w braterstwie z Francuzami i "Cyzalpinami." Że mają się oświecać i kształcić, bo z nich mają być oficerowie przyszłego wojska polskiego po powrocie do Kraju.

Tymczasem zamiast w stronę Kraju, ku północy, pomaszerowali w początku 1799 roku główną swoją siłą w pięć batalionów, przeciw Neapolitańczykom. Rozbijali ich śmiałymi uderzeniami pod Civita Castellana, zdobywali Gaetę /tak blisko dzisiejszego frontu nad Garigliano/.

Później, po zwycięskiej kampanii i zdobyciu Neapolu nasz Kniaziewicz wyprawiony został do Paryża i jak czytamy w "Panu Tadeuszu" — "zwycięzca, zdobytych potomkom Cezarów rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów." Bogiem a prawdą, było ich kilkadziesiąt, a nie tak bardzo były krwawe, ile że wojska neapolitańskie nie odznaczały się zbytnią tęgością w boju. Nasza wiara mówiła o tym mniej uroczyście, że "Francuz razem z Polakiem zjedli makarony z makiem." Dowodził bowiem Neapolitańczykami generał austriacki Mack.

Ale po zwycięstwach przyszły ciężkie i przykre przeprawy z chłopską partyzantką włoską, zawziętą i srogą. Tymczasem zaś wszczęła się druga wojna koalicyjna przeciwko Francji. Sprzymierzone armie austriackie i rosyjskie wkraczały do Włoch. Legia druga Rymkiewicza skrwawiła się nad Adygą, gdzie straciła dowódcę, poczem pod rozkazami Wielhorskiego broniła fortecy Mantui. Przy kapitulacji haniebnie wydano w ręce austriackie Polaków — byłych cesarskich żołnierzy na okrutne kary i srogą niewolę.

Dąbrowski z główną częścią Legionów — pierwsza Legia, oraz bataliony doborowe grenadierów i strzelców i świeżo zaimprowizowany pułk kawalerii — przybiegł z Neapolu w porę, by wziąć udział w ciężkiej czterodniowej bitwie nad Trebbią z Rosjanami Suworowa. Obficie popłynęła tu krew polska, Dąbrowski sam był ranny. Ocalałe szczątki biły się pod Novi, poczem przeżywały straszną nędzę, będącą udziałem armii francuskiej w Ligurii.

W roku 1800 odtworzono Legiony. Część ich stała się zawiązkiem Legii Naddunajskiej Kniaziewicza. Dąbrowski zorganizował nowych siedem batalionów piechoty z artylerią. Uczestniczył w późniejszej fazie kampanii tego roku. Znowu był na tym samym szlaku przez Karyntię na Wiedeń, ku Polsce. I znowu przyszło zawieszenie broni i jeszcze gorsze traktaty pokoju z obu zaborcami.

Francja zobowiązała się nie utrzymywać wojsk polskich. Bonaparte rozkawałkował je między państewka włoskie, by je zakamuflować i przechować. Burzyli się. Żądali pozostawienia w służbie francuskiej. Choćby iść na San Domingo, gdzie właśnie szedł francuski korpus ekspedycyjny. Poszły dwie trzy-batalionowe półbrygady. Doszczętnie niemal przepadły.

Jedna już tylko została we Włoszech polska półbrygada, a także wsławiony w bitwie pod Hohenlinden w 1800 r. pułk jazdy Legionów. Doczekali się nowej wojny, trzeciej koalicyjnej. Odegrali rozstrzygającą rolę w bitwie pod Castel Franco w 1805 r., gdzie zniesiono doszczętnie korpus austriacki i zabłysły nazwiska Grabińskiego, Chłopickiego, Rożnieckiego. W roku następnym za to pod Maida nad zatoką Santa Eufemia w walce z lądującymi Brytyjczykami pułk piechoty polskiej został mocno poturbowany i stracił sporo jeńców. Niewola zaś brytyjska nie była w owe czasy tak uprzejma i wygodna, jak dzisiaj.

Dzisiaj w ogóle odmieniły się rzeczy. Żołnierz polski nie przeciw Brytyjczykom walczy, ale ramię w ramię z nimi. Ramię w ramię z Francuzami, tradycyjnymi towarzyszami broni. Ramię w ramię z Amerykanami, z którymi łączy go tradycja walki o wolność. Ramię w ramię z Włochami, odradzającymi swe siły zbrojne dla wyzwolenia swej Ojczyzny.

Bardziej jest dziś oczywiste, niż za Dąbrowskiego, że żołnierz polski bije się o "sprawę narodów," z którą razem musi zwyciężyć sprawa polska.

* * *

Wtedy, w r. 1806, raptownie wezwany, popędził Dąbrowski do kwatery Napoleona, do Prus, by podejmować sprawę powstania narodowego i Wielkopolskę postawić pod broń. Niebawem pomaszerowali żołnierze tułacze ku Ojczyźnie.

* * *

Minęły lata. Przyszła doba odrodzenia Włoch — *Risorgimento* — i długich ich walk o wolność. Wtedy to Mickiewicz stworzył legion polski w Rzymie. Książe Adam Czartoryski zawierał konwencję z papieżem, a później z królem sardyńskim w sprawie polsko-włoskiej współpracy wojskowej. Generał Chrzanowski dowodził naczelnie armią piemoncką. Później generał Mierosławski dowodził armią powstańczą na Sycylii. Wielu Polaków walczyło w szeregach Garibaldi'ego w jego zuchwałej wyprawie, jednoczącej Włochy w jedno państwo narodowe. Zespoliła nas z narodem włoskim walka za wolność — naszą i waszą. Odpłacili się nam Włosi, śpiesząc licznie do polskich powstańczych szeregów w roku 1863.

Po wielu dalszych dziesiątkach lat — u schyłku tamtej wojny światowej na ziemi włoskiej, z obozów jeńców, dziesiątki tysięcy Polaków w austriackich mundurach przechodziły w szeregi polskiej "błękitnej" armii generała Hallera. A wśród powstających pułków były pułki pod wezwaniem Garbibaldi'ego i bohatera powstania styczniowego, pułkownika Francesco Nulli. Od miast włoskich otrzymywały na drogę żołnierską ku Polsce sztandary — godła braterstwa i przyjaźni.

Znów upłynęło przeszło lat dwadzieścia. W tragiczne dni jesienne 1939 roku, przez całą następną zimę i wiosnę codziennie jechały przez Włochy grupy polskich żołnierzy. Jechali w nędznych ubraniach cywilnych, wypierając się wojska i wszelkich spraw jego. Otaczała ich życzliwa, uprzejma dyskrecja gospodarzy. Wiedzieli, że to żołnierze, że jadą do Francji, do Armii Polskiej, że staną się może przeciwnikami. Ale stara tradycja przyjaźni była mocniejsza od względów politycznych, od nowych związków "osiowych" i oficjalnej przyjaźni z Niemcami.

Dzisiaj z ulgą myślimy, że naród włoski nie jest już w obozie wrogim. Ciężkie jego przejścia zbliżą go do nas, jak wierzymy, ponownie, i bardziej, niż kiedykolwiek w przeszłości. A przyczynią się do tego walki naszych wojsk o wyzwolenie Włoch.

Nasz Korpus II. zapisze nową kartę w dziejach wojska polskiego we Włoszech. Oby była świetna, ale krótka i urwała się odejściem stamtąd dalej w stronę Kraju.

Karta ta będzie piękna, godna poprzednich. Bo też warci są żołnierze Korpusu II. swoich poprzedników, dawnych żołnierzy polskich, których wiodły szlaki tułacze na ziemię włoską.

MARIAN KUKIEL

WOJNA O PRAWO

Spór polsko-rosyjski zdaje się przebiegać według tych samych praw, które rządzą toczącą się wojną. I w nim krótkie okresy pełne natężenia, aż zagęszczone od wydarzeń, wymieniają się z okresami złudnej ciszy, pozornej pustki. Po tygodniu, w którym zjawiły się po sobie kolejno dwa oświadczenia sowieckie i jedno polskie, nastąpił — mówiąc angielskim językiem wojennym — "lull" prawie miesięczny.

Ciążył on na naszej świadomości równie dotkliwie, może jeszcze dotkliwiej, niż tamten huraganowy tydzień. Rozumieliśmy, my żołnierze rozumieliśmy to lepiej, niż ktokolwiek inny, że właśnie wytrzymanie groźby, możliwości ataku, jest równie ważne, a czasem nieraz trudniejsze, niż wytrzymanie natarcia, idącego z określonej strony, w rozpoznanym kierunku, na cel, którego można się domniemywać. Nie będzie chyba nadmiaru optymizmu w stwierdzeniu, że do tej żołnierskiej odporności, do tego hartu nerwów, coraz bardziej dorasta cała społeczność emigracyjna. Coraz powszechniej pojmuje się, że pierwszy obowiązek każdego z nas tutaj stanowi wysiłek samoopanowania, spokojnego, powściągliwego osądu, niezachwianej równowagi.

W ostatnich dniach ta obowiązująca postawa polska przejść musiała dwie nowe próby. Jedną z nich był oszczerczy artykuł "Prawdy" przeciwko Polsce, jej Rządowi, jej rzeczy najbardziej kosztownej i najdroższej — Ruchowi Podziemnemu. Drugą stanowi powódź sprzecznych informacji i oświetleń, jakie przyniosła londyńska prasa niedzielna.

O ataku "Prawdy" nie warto mówić. Są furie bezsilne i są oszczerstwa, które same się unicestwiają, bo są zbyt lekkomyślnym wyzwaniem zdrowego rozsądku. Do takich wystąpień należą niestety absurdalne nieprawdy "Prawdy" moskiewskiej. Tak je potraktowała opinia brytyjska, tak na nie odpowiedziała opinia polska.

Informacje niedzielnej prasy tutejszej wymagają rzeczowego komentarza, wymagają sprostowań i jasnych ustaleń.

Jedno w tych doniesieniach jest zgodne i jest — zgodne z prawdą. Mianowicie fakt, że Polska stoi niezmiennie na stanowisku dobrej woli i na stanowisku obowiązującego prawa.

Nowy dowód dobrej woli stanowią zarządzenia dla Armii Krajowej, ustalone w zgodnym porozumieniu między Rządem i Naczelnym Wodzem. Mówią one o tym, że pomimo braku bezpośrednich stosunków dyplomatycznych między Polską a Rosją nasze siły zbrojne w Kraju, organy polskiego państwa podziemnego okażą gotowość współdziałania z wojskami sowieckimi w operacjach wojennych przeciw wspólnemu wrogowi niemieckiemu. Jest to niewątpliwie "ustępstwo." Nie ma powodu tego ukrywać. Ale jest to także jeszcze jedno dobitne stwierdzenie naszej wierności dla idei Zjednoczonych Narodów, jest to jeszcze jedno świadectwo naszej konsekwentnej walki z hitleryzmem.

Dotrzymując wierności sojusznikom w ciężkich, trudnych warunkach, cięższych i trudniejszych, niż te, które są udziałem jakiegokolwiek narodu w tej wojnie — Polska ma obowiązek dotrzymać wierności samej sobie. I to jej nie może być zaprzeczone. Na wierności prawu opiera się jej ciągłość państwowa, legalność jej Rządu, suwerenność jej sił zbrojnych, które walczą pod swoimi znakami i sztandarami na morzu, w powietrzu i w tej chwili — na ziemi włoskiej. Wiernością prawu Polska stoi i ostoi się w tym tragicznym zamęcie.

Dlatego jest nieporozumieniem z wielu stron, jeśli się doradza, zachęca, domaga, aby w tej chwili, w tych okolicznościach zapadły ostateczne postanowienia co do zmian terytorium Rzeczypospolitej. Według obowiązującej Konstytucji prawo zmiany granic państwa jest zawarowane dla ciał ustawodawczych, wyłonionych w wolnych, powszechnych wyborach przez cały naród.

Rząd nasz może mówić i zapewne mówi o granicach wschodnich, zachodnich i północnych Polski jako całości, może dla konferencji pokojowej i dla nowego Sejmu polskiego przygotowywać materiał w tym względzie. To jest jeden z jego obowiązków i jedno z jego zadań. Rząd nasz może i w danej sytuacji powinien uzgadniać techniczne sprawy dotyczące administracji terenów odbieranych Niemcom. Taki sens miałaby zapewne linia demarkacyjna idąca na wschód od Lwowa i Wilna, o której pisała ostatnio prasa londyńska.

Jedno jest pewne. Rząd polski, jak żaden rząd konstytucyjny, powołany na podstawie prawa i związany prawem — nie przyjmie dyktatu granicznego, czy byłby on korzystny lub niekorzystny, czy miałby formę uprzejmego zaproszenia lub ultimatum. I to także jest pewne, że żaden rząd demokratyczny nie przyjmie dyktatu z zewnątrz co do tego, kto ma w nim zasiadać a kto nie. Poddanie się takiemu dyktatowi było by więcej, niż sprzeniewierzeniem się prawu. Było by sprzeniewierzeniem się woli zbiorowej, tej niezależnej i stanowiącej o sobie woli narodu, który przez swoich przedstawicieli stanowi prawo i powołuje rząd do jego pilnowania i obrony.

W tym świetle trzeba także stanowczo odrzucić doniesienia prasy brytyjskiej o rzekomych "rozdźwiękach" w Rządzie Polskim. Niewątpliwie w tych czasach tak osobliwych i okolicznościach niebywale trudnych podbieranie decyzji przez ludzi, którzy dźwigają cały, olbrzymi ciężar odpowiedzialności nie jest rzeczą łatwą i prostą. Mogą być, muszą być wśród nich różnice co do szczegółów, nie ma i nie może być różnicy co do istoty rzeczy. Rząd demokratyczny, w którym powstaje taka różnica, po prostu podaje się do dymisji i jest zastąpiony innym rządem.

Uświadomienie sobie tych prostych prawd jest ważne w tej chwili, gdy na nasz temat pisze się rzeczy opaczne, oparte na nieporozumieniach i niezrozumieniach. Uświadomienie sobie tych oczywistych prawd daje jasną, dokładną miarę do oceny tego, co się mówi i pisze o nas, daje nieodparty argument przeciw temu, czego się od nas żąda. Uświadomienie sobie tych prawd może nadto stanowić czynnik siły wewnętrznej, odporności nerwów, której nam trzeba ciągle i na długi czas jeszcze. Dlatego może dobrze się stało, iż ostatnia fala dyskusji prasowej wyniosła te prawdy na powierzchnię.

Rozmaicie już tę wojnę — szczerze i nieszczerze — nazywano: wojną o demokrację, wojną o człowieka, wojną o lepszy świat. Dla nas Polaków jest to także, w tej chwili widzimy w jakim stopniu — wojna o prawo.

Stoimy na gruncie prawa. Z gruntu prawa nie zejdziemy.

ALEKSANDER JANOWSKI

Szkic sytuacyjny

POD CASSINO I POD ANZIO

Ostatnie doniesienia z frontu włoskiego powiadają, że walki o Cassino trwają dalej, ale równocześnie, że istnieje możliwość obejścia tego miasta. Nie zdajemy sobie na razie sprawy, czy zbombardowanie słynnego klasztoru Benedyktynów, jednej z kolebek kultury europejskiej, pomogło wiele. Okazuje się bowiem teraz, że i tak Cassino zamierza się obejść. Cała sprawa bombardowania Monte Cassino jest dalej okryta tajemnicą. Wiemy, że Stolica św. prosiła o oszczędzenie klasztoru i że wojska sojusznicze robiły godne pochwały wysiłki, ażeby istotnie nie wyrządzić szkody klasztorowi.

Na razie na froncie głównym we Włoszech nie sposób zanotować postępów decydujących. Nasuwa się wniosek, że na froncie tym dokonuje się przede wszystkim szkolenia jednostek i że oddziały armii szybko się tam zmieniają. W takich warunkach trudno mówić o szansach szybkiego pochodu.

Pod Anzio położenie jest na razie jakby opanowane, jakkolwiek wszelkie wnioski byłyby może przedwczesne, albowiem nie mamy dokładnych raportów. Prasa podaje raczej ogólniki i widać, że nie jest ona zbytnio w łaskach tamtejszego dowództwa. Ataki niemieckie jakby osłabły nieco na sile, ale nie znaczy to, ażeby nie miały zostać podjęte. Przez czas jakiś "*Luftwaffe*" przeprowadzała bardzo ostre ataki, dowodząc, że nie jest ona tak słaba, jak to przypuszczano jeszcze niedawno. Potem do akcji przeszło lotnictwo sojusznicze, dokonując rozlicznych wypadów. Dzisiaj nie wiemy, jak się to przedstawia. Czy lotnictwo alianckie będzie coraz silniej uderzać, czy też będziemy mieli do czynienia z wielkimi starciami czołgów. Okazało się, że sama przewaga lotnicza jeszcze nie może zdecydować wyniku bitwy i że pomimo tej przewagi nie zdołano zapobiec niemieckim koncentracjom, jak i uciszyć niemieckich baterii.

W danej chwili mamy do czynienia na froncie włoskim z zapasami, które nie tak szybko zdecydują się na tę czy drugą stronę. Opór niemiecki nie wykazuje nigdzie objawów załamywania się. Włochy są dalej terenem bardzo powolnego marszu.

ATAKI I KONTRATAKI LOTNICZE

W ostatnich dniach uderzenia lotnicze sojuszników obejmowały przede wszystkim działania dzienne. Atak na Berlin był na olbrzymią skalę, bo w ciągu 30 minut zrzucono 2500 ton bomb. Około 1.000 maszyn brało udział w nalocie.

W odpowiedzi na ten atak "*Luftwaffe*" dokonała nalotu na Londyn, który oczywiście reklamowano w Niemczech jako niebywale ostry i niszczący. W rzeczywistości "*Luftwaffe*" dokonała istotnie najbardziej energicznego uderzenia na Londyn od czasu "*blitzów*" i starała się wzniecić możliwie największą ilość pożarów. Zadanie to nie było łatwe, albowiem ogień z ziemi był silny, a służba straży pożarnych działała doskonale. Mimo to "*Luftwaffe*" zrzuciła znaczną ilość bomb zapalających, co dowodziło, że w akcji nie było bombowców ciężkich, ale przede wszystkim średnie maszyny i że polityka bombardowania przez Niemców idzie dalej po linii największego zniszczenia przez pożary.

Nalot ostatni obudził czujność miasta Londynu. Panuje przekonanie, że "*Luftwaffe*" może powtórzyć swoje ataki i że na wiosnę b.r. możemy mieć do czynienia z nowymi próbami replik — słabszych czy silniejszych na olbrzymie ataki sojusznicze.

JAK Z DRUGIM FRONTEM?

Pisma brytyjskie coraz częściej stwierdzają, że boje na kontynencie Europy zapowiadają się jako bardzo ciężkie. O ile jeszcze przed rokiem uznawano, iż w razie zdecydowanego uderzenia na brzegi Europy maszyna niemiecka pocznie szybko zawodzić, o tyle obecnie coraz bardziej przeważa przekonanie, że nawet przy ustaleniu kilku przyczółków posuwanie się naprzód nie pójdzie tak szybko i że dotarcie do granic Rzeszy nie będzie łatwe.

Ostatnio prasa sowiecka oraz sprawozdawcy brytyjscy z Moskwy jak n.p. Alexander Werth w "*Sunday Times*" z dnia 20.II. zaznaczają, iż w Moskwie istnieją obawy, że otwarcie drugiego frontu może się znowu opóźnić. Podobno nawet istnieją podejrzenia, że nie dojdzie do powołania do życia tego frontu w tym roku.

Oczywiście, są to tylko domysły, ale są one niepokojące. *R. 1944 winien za wszelką cenę być rokiem inwazji. Inaczej bowiem cała rachuba wojenna może się opóźnić.* W lecie r. 1942 atakowano autora tych słów za wyrażenie w "Polsce Walczącej" przypuszczenia, iż wojna może się przeciągnąć do r. 1945. Okazuje się, że ten, jak to wtedy mówiono "pesymizm," był w pełni uzasadniony. Gdyby jednak w tym roku nie doszło do inwazji, to granica r. 1945 byłaby jeszcze za bliska.

CO Z FINLANDIĄ?

Nic bliższego nie da się powiedzieć o zabiegach pokojowych Finlandii. B. premier tego kraju Paasikivi bawi podobno dalej jeszcze w stolicy Szwecji odbywając narady z panią Kołłontaj. Chodzą słuchy, że uda się on do Berlina. Inne głosy powiadają, że wyjedzie do Moskwy.

Tajemnica, jaka otacza misję b. premiera fińskiego dowodziłaby, że jednak rozmowy się posuwają. Prasa fińska coraz bardziej przygotowuje ogół fiński na możliwość porażki i konieczność ustępstw. Nie wiemy, co zrobi Rzesza i czy istotnie zachowa się ona tak, jak w sprawie włoskiej. Wprawdzie wskazuje się, że wyjście Finlandii z wojny otwiera cały front północny i grozi bezpośrednio stanowiskom niemieckim w Norwegii, ale z drugiej strony nie jest wykluczone, że Niemcy będą patrzeć bardziej obojętnie na wyjście Finlandii z wojny. Dla nich może ta historia dzisiaj przedstawiać raczej skrócenie frontu. Przypomnieć należy, że swojego czasu chodziły pogłoski, iż Niemcy gotowi są opuścić Norwegię, ale że chcieliby przekazać Szwecji niejako nadzór nad nią i mieć zapewnienie, że Norwegia przejdzie na neutralność.

NA FRONCIE WSCHODNIM

Nie wiemy dalej, jak się właściwie przedstawia los jednostek niemieckich w saku korsuńskim. Podobno część tych wojsk przebiła się. Rosyjskie komunikaty przedstawiają los tych jednostek bardzo tragicznie, stwierdzając, że poważna ilość żołnierzy i oficerów dokonała samobójstwa, że dobijano rannych i t.d. Nie wiemy, jak się to przedstawiało istotnie, ale jeżeli wersja sowiecka jest prawdziwa, to osłabienie t.zw. moral niemieckiego żołnierza nie musi być znaczne. Bije się on teraz na ogół lepiej, aniżeli przed rokiem.

Doniesienia neutralne mówią, że wojska niemieckie będą cofały się dalej i że linie obrony Rumunii są bardzo wzmocnione, podobnie jak linia obrony Zbrucza i dalej, przed Lwowem. Wiele wskazuje na to, że wojska niemieckie na początku wiosny znajdą się na tych silnych liniach. Czy atak niemiecki wyjdzie z tych linii i kiedy, nie wiemy, ale wydaje się, że pogotowie niemieckie w Polsce jest poważne i że nie obejdzie się bez jednej jeszcze próby niemieckiej uderzenia w trzon armii sowieckiej.

Pisma angielskie coraz częściej używają obecnie wyrażenia, jakiego użyliśmy tutaj przed kilku tygodniami, mianowicie mówią o "unikach" armii niemieckiej, która nie chce dojść do zwarcia i usuwa się stale a powoli ku zachodowi.

W tych warunkach istnieje dalej możliwość przyjścia ofensywy niemieckiej. Armia niemiecka okazuje się dalej silna i wcale zwarta.

NOWINKI POLITYCZNE

"*Observer*" i "*Sunday Times*" z dnia 20.II. powtarzają wieści jakie pojawiły się już poprzednio na temat rozmów angielsko-polskich, pośrednictwa Churchilla i treści listu Stalina. Warunki sowieckie, powiadają wspomniane gazety, streszczają się w przyjęciu linii Curzona jako podstawy rokowań, podjęcia współpracy z armią sowiecką przez polskie siły podziemne oraz zgodę na zmiany w rządzie polskim. Strona polska, raportuje prasa brytyjska, wysuwa linię demarkacyjną, która biegnie przez miasta Lwów i Wilno i pozostawia tereny na wschód od tej linii w administracji sowieckiej. Strona polska, mówią dalej pisma brytyjskie, godzi się zasadniczo na współpracę z armią sowiecką w razie jej dalszego przenikania w tereny polskie. Opiera się stanowczo zmianom w rządzie.

Mowa premiera Churchilla, która wygłoszona być może, zanim ten przegląd się pojawi, wyjaśni niejedno, jakkolwiek może pozostawić pewne rzeczy jeszcze w niedomówieniu. Wynika to z tego, że strona brytyjska nie chce puszczać całej sprawy na fale dyskusji.

Jakkolwiek rzeczy się mają, naciski na Polskę oraz nacisk wypadków jest taki, że zarówno ten miesiąc jak przyszły i cała wiosna zapowiadają się jako czarne miesiące. Prasa brytyjska twierdzi, jakoby strona polska poczyniła już pewne ustępstwa i że trzeba będzie, ażeby dokonała dalszych.

Sprawa Prus Wschodnich nie przedstawia się tak różowo, jak to chcieli nasi optymiści. Strona sowiecka powiada, że Królewiec ma przypaść w udziale Rosji. Polska otrzymałaby Mazury oraz Elbląg. Jest to najgorsza część Prus Wschodnich, które są w ogóle ziemią nieurodzajną, krainą stale subwencjonowaną — na długo przed pierwszą wojną światową. "*Time and Tide*" w nrze z dn. 19.II. powiada, że jeżeli Polska zdecyduje się na Prusy Wsch., to będzie to dar wątpliwy, albowiem będzie miała nowe tematy do waśni z Niemcami. Dodajmy, że już dzisiaj koła lewicy angielskiej atakują . . . polski imperializm, albowiem — Rosja chce zabrać Prusy Wsch. i wydzielić część z tego ugornego kraju Polsce.

Londyn, dnia 20-ego lutego 1944

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

14 *l u t e g o : W nocy z 13/14 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty polskie powróciły.*

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową oraz przeprowadziły wymiatanie.

—W Berlinie ogłoszono o walkach z wojskami sowieckimi koło Dubna.

15 *l u t e g o : Lotnictwo amerykańskie, po uprzednim ostrzeżeniu, bombardowało klasztor Benedyktynów Monte Cassino.*

—Polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską w nocy 14/15. Wszystkie samoloty powróciły.

—Polskie dywizjony myśliwskie trzykrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

16 *l u t e g o : Sztab Naczelnego Wodza i Kwatera Główna Sprzymierzonych w Afryce Północnej ogłosiły równocześnie, że II. Korpus Polski pod dowództwem gen. dyw. Wł. Andersa wszedł ostatnio do akcji bojowej we Włoszech. W skład Korpusu wchodzą m.in. Dywizja Karpacka i Dywizja Kresowa.*

—W nocy z 15/16 lotnictwo brytyjskie dokonało b. ciężkiego nalotu na Berlin. W ciągu 30 minut zrzucono około 2.500 ton bomb. Ponadto tej samej nocy bombardowany był Frankfurt nad Odrą oraz Zachodnie Niemcy. Ogółem tej nocy w działaniach wzięło udział ponad 1.000 bombowców.

—W nocy z 15/16 polski dywizjon bombowy brał udział w działaniach bojowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Amerykańska marynarka wojenna oraz lotnictwo przeprowadziły silny atak na wyspę Truk, bazę japońską.

—W Londynie opublikowano po raz pierwszy fotografie z życia i walk polskiej Armii Krajowej.

17 *l u t e g o : W Moskwie ogłoszono o zakończeniu, po 14-stu dniach walk, operacyj pod Korsuniem i Kaniowem, w czasie których zniszczono okrążoną niemiecką Ósmą Armię. Zabito 52.000 Niemców oraz wzięto do niewoli 11.000.*

—Prasa londyńska podała wiadomość o rozmowie Churchilla z premierem Mikołajczykiem, która odbyła się ostatnio.

18 *l u t e g o : W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Starą Russę.*

19 *l u t e g o : W nocy z 18/19 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.*

—W Londynie ogłoszono, że w dniu 29 ub.m. oddział Armii Krajowej dokonał zamachu na gubernatora generalnego H. Franka. W zamachu zginęło wielu Niemców, sam jednak Frank uszedł cało.

20 *l u t e g o : W nocy z 19/20 lotnictwo brytyjskie dokonało bardzo silnego nalotu na Lipsk. W nalocie wzięło udział około 1.000 samolotów. Zrzucono ponad 2.300 ton bomb. 79 samolotów nie powróciło.*

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia fabryki samolotów w Lipsku, Gotha i Bernberg. Był to największy dotychczas dzienny nalot lotnictwa Sprzymierzonych. W nalocie wzięło udział, razem z lotnictwem myśliwskim, około 2.000 samolotów.

Nowości lotnicze

Komunikat amerykańskiej H.Q. podaje wiadomości o ostatnich sukcesach amerykańskiego lotnictwa na froncie europejskim. Jest to jak gdyby zsumowanie wysiłków tego lotnictwa w okresie ostatnich dwóch miesięcy. Przytoczymy najciekawsze cyfry.

Amerykanie zrzucili w styczniu 1944 na Niemcy i we Włoszech 22.000 ton bomb oraz zestrzelili 930 samolotów nieprzyjacielskich, tracąc w tym czasie około 330 własnych, przeważnie bombowców.

Obok walki, lotnictwo amerykańskie oddało sprawie alianckiej jeszcze jedną wielką przysługę: oto ono pierwsze, przez swe dzienne naloty na Rzeszę, zmusiło *Luftwaffe* do koncentracji sił obronnych na terenie środkowych Niemiec, równocześnie zmuszając te siły do stałego wysiłku bitewnego. Jest to wysoce niewygodne dla *Luftwaffe*, która stara się obecnie oszczędzać ludzi i materiał, choćby kosztem mniejszych sukcesów, lub wręcz niepowodzeń armii lądowej. Wypływa to z konieczności.

Stałą zmorą *Luftwaffe* jest groźba inwazji Aliantów na tereny zachodniej Europy. *Luftwaffe* wie, że czeka ją wtedy wielka i decydująca nie tylko dla niej, lecz i dla całej armii niemieckiej, bitwa powietrzna. Taka bitwa z gros sił lotniczych nieprzyjaciela będzie musiała zużyć olbrzymią masę samolotów i będzie wymagać bolesnych ofiar w załogach. Jednak by je ponieść, a ponieść się musi, trzeba je mieć w dyspozycji. Tymczasem produkcja niemieckiego przemysłu lotniczego spadła, spadły też zarobione w latach 42 i 43 rezerwy. Co więcej: nadzieje pokładane w przestawieniu produkcji z bombowców na myśliwce i uzyskanie w ten sposób większej wydajności fabryk, nie spełniają się, wobec zniszczenia szeregu ośrodków produkcyjnych i montowni przez lotnictwo Sprzymierzonych. Owe dzienne oraz rosnące w sile nocne naloty na Niemcy, zmusiły *Luftwaffe* do zaangażowania czynnie lwiej części swych sił obronnych jeszcze p r z e d bitwą inwazyjną.

Amerykanie mogą sobie pozwolić na coś, co było przedtem nie do pomyślenia, a na co sobie Niemcy i dziś jeszcze pozwolić nie mogą, mianowicie na osłonę wypraw bombowych przez myśliwce na dalekie odległości. Nie oznacza to jednak jedynie większego bezpieczeństwa dla bombowców. Ma to jeszcze inne oblicze, nader groźne dla *Luftwaffe*: gdy starcia myśliwców z bombowcami nie są dla myśliwców zbyt groźne, nawet, gdy atakują fortece, najeżone karabinami maszynowymi i działkami, to obecność myśliwców obok bombowców i to myśliwców uzbrojonych nie byle jak — oznacza walki ciężkie i straty z reguły bardzo duże. Stałych walk i z tym połączonych stałych strat Niemcy muszą lękać się ogromnie. To bowiem wyrywa zbyt duże szczerby w stanie liczebnym pierwszej linii. Amerykanie nie boją się strat tym bardziej, że mają na celu, nawet kosztem największych strat własnych, zadać jak najwięcej strat nieprzyjacielowi.

Słusznie zauważył jeden z amerykańskich dowódców, że o ile pogoda dotrzyma przez dłuższy czas nad kontynentem, to *Luftwaffe* może stanąć w obliczu najpoważniejszych trudności w tej wojnie, a kto wie — może nawet katastrofy swoich stanów liczebnych pierwszej linii.

Straty niemieckie w walce z lotnictwem alianckim są większe od strat Aliantów. Przyczyną tego jest przede wszystkim lepszy sprzęt Brytyjczyków i Amerykanów. Wspominając zaś o amerykańskim sprzęcie myśliwskim musimy powiedzieć, że zdaniem obserwatorów neutralnych *Thunderboldy, Lightningi* i *Mustangi* o niebo przewyższają niemieckie samoloty myśliwskie. Rzeczywiście, to jedno wydaje się pewne: siłą ognia i kalibrem przewyższają na pewno nie tylko niemieckie, lecz nawet niektóre brytyjskie typy, zaś dzięki szybkostrzelności działek, amerykańskie myśliwce należy zaszeregować dziś do ekstraklasy tego rodzaju samolotów.

Fotografie przywożone przez pilotów /kamery są wbudowane do skrzydeł każdego samolotu wylatującego na zadanie operacyjne, uruchomiane są automatycznie, równocześnie z rozpoczęciem przez pilota ognia/, otóż te fotografie pokazują nam fakty zupełnie nie do wiary. Samoloty nieprzyjacielskie rozla-[illegible] tra-[illegible]. Może właśnie wyższość sprzętu i uzbrojenia, no i owe wyprawy dzienne, a więc większa możliwość spotkań, pozwoliła w tej chwili Amerykanom wysunąć się na pierwsze miejsce w ilości zestrzeleń nieprzyjacielskich samolotów. Działania trwają mniej więcej od sześciu miesięcy, a niektórzy z pilotów mają już na swym koncie kilkanaście pewnych zestrzeleń. Rekord jest 17 pewnych.

Miło nam wspomnieć, że jednym z czołowych asów amerykańskich jest Polak, płk. Gabrielski, który w ciągu tych sześciu miesięcy uzyskał już czternaście zwycięstw pewnych, nie licząc przypuszczalnych. *Nota bene* polscy myśliwcy twierdzą, że rzecz nie dzieje się bez ich zasługi, bowiem Gabrielski przez dłuższy czas praktykował w jednym z naszych dywizjonów.

Wyprawy amerykańskie, osłaniane przez myśliwców sięgają w tej chwili aż po Hamburg, Frankfurt, a w teorii mają możność sięgnąć w głąb całego terytorium Niemiec. Uzyskanie tych wszystkich możliwości pociąga za sobą jeszcze dalsze. Przez ten fakt amerykańskie lotnictwo zapisało historyczną kartę w dziejach lotnictwa, a w każdym razie kartę nową i bardzo ciekawą. Skutki taktyki amerykańskiej przy ich możliwościach technicznych nie dadzą się w tej chwili dokładnie ocenić, lecz dziś już stwierdzić możemy, że będą bardzo poważne i wpłyną niewątpliwie na losy wojny.

Mówiąc o bombardowaniu należy nam nadmienić przy tej sposobności, że taktyka nocnego bombardowania uległa zmianie z obu stron. Dawniej, parę miesięcy temu /miesiąc na wojnie to lata/, gdy tylko zbliżała się pełnia księżyca, powietrze aż jęczało od brzęczących i dudniących motorów. Obecnie, gdy księżyc staje w pełni — powietrze ucicha. Na przykład w czasie ostatniej pełni nie zanotowaliśmy ani jednego nalotu w większym stylu na Niemcy, Niemcy natomiast atakowali Londyn i Anglię dopiero po pełni, przed każdym wschodem księżyca. Przyczyna zmiany taktyki jest ulepszenie środków obrony z ziemi, jak również większe nasycenie nieba myśliwcami. Naloty w czasie pełni stały się bardzo kosztowne.

Walka w niektórych okolicznościach, wbrew dotychczasowym regułom, że atakujący traci więcej, niż atakowany, może stać się także dla obrońcy zanadto kosztowna. Przypomnijmy sobie taktykę niemiecką w Afryce, gdy to Niemcy nie tylko dla ataku, lecz dla obrony swych pozycji angażowali przede wszystkim nurkowce. Były momenty, gdy ta taktyka dawała pewne rezultaty. Jednak okazało się z czasem, że nurkowce użyte przeciw atakującemu pod osłoną silnego myśliwstwa — to samobójstwo. Nurkowce zniknęły z placu boju, zastąpiły je natomiast samoloty myśliwskie uzbrojone po zęby i posiadające podwieszenia dla bomb: bombardujące myśliwce.

Brytyjczycy od początku bardzo nieufnie patrzyli na nurkowce. Może nie tyle Brytyjczycy, ile *Air Ministry. Air Ministry* przewidywała rychły zmierzch nurkowca i broniła się rękami i nogami przed presją opinii publicznej, zasugerowanej powodzeniami niemieckimi. *Air Ministry* popierała ideę samolotu, placu boju, broni taktycznej, broni nie tylko zdolnej do ataku, lecz także do własnej obrony. *Luftwaffe* długi czas trwała uparcie przy nurkowcach. Dlatego dziś *Luftwaffe* i na tym polu jest w tyle. Jej samoloty placu boju są raczej przeróbką pewnych czysto myśliwskich typów, nie można jednak powiedzieć, że nieudaną. *Focke Wulfy* stały się bardzo dobrymi myśliwcami bombardującymi i oddają duże usługi armii niemieckiej, są też bardzo groźne na skutek swej dużej nośności, przy atakach na obiekty stałe.

Wbrew wyrażonej przez nas w ostatnich "Nowościach" opinii, że Niemcy nie ujmą w ręce we Włoszech inicjatywy z powodu braku lotnictwa, Niemcy to zrobili. Przyznajemy się do omyłki. Jednak przyznajemy się z zastrzeżeniem. Dlaczego Niemcy mogli zaatakować? Okres najgorszych pogód przykuł lotnictwo alianckie do lotnisk. Niskie chmury, deszcz ze śniegiem i mgły nie pozwoliły na wsparcie wojsk umocnionych na pozycjach przyczółkowych koło Nettuno i Anzio. Niemcy uderzyli i odnieśli niewątpliwie pewne sukcesy. Jednak powodzenie Niemców było raczej krótkotrwałe: z chwilą, gdy pogoda poprawiła się nieco i lotnictwo znów znalazło się w powietrzu, Niemcy stracili inicjatywę. Nasza teza, że w dzisiejszych warunkach boju nie ma zwycięstwa bez silnego lotnictwa, nie doznała uszczerbku, a nawet znalazła pełne potwierdzenie w dziejach walk ostatnich o drogę do Rzymu.

Niemcy znają tę tezę bardzo dobrze. Dlatego przed organizacją kontrofensywy włoskiej starali się zorganizować próbę uzyskania choćby chwilowej przewagi w powietrzu. Ściągnięto posiłki z Niemiec oraz z terenów bałkańskich, skoncentrowano wysiłek tych jednostek lotniczych, które i przedtem były w dyspozycji Kesselringa. Odbiło się to odrazu na obronie Niemiec. Zaraz piloci amerykańscy i brytyjscy meldowali, że opór w czasie walk nad Niemcami wydaje się słabszy. Ba, kilkakrotnie nie napotkano większej liczby myśliwców i wyprawy odbyły się prawie bez strat. Z drugiej strony lotnictwo brytyjskie uzyskało od razu poważne "*score*" nad wyspami greckimi, zestrzeliwując sporo *Junkersów* transportowych.

W końcowym efekcie — Niemcy nie uzyskali przewagi w powietrzu nad Italią, gdyż zebrany doraźnie dyspozytyw nie był wystarczający liczebnie, by stoczyć zwycięską walkę z lotniczymi siłami alianckimi, natomiast odsłonili poważnie niektóre cele niemieckie i potracili sporo maszyn w Grecji. Bajka o za krótkim płaszczu jeszcze raz staje się aktualna.

Rosjanie zapowiadają w najbliższym czasie rozpoczęcie strategicznych nalotów na Niemcy. Nie możemy przewidzieć, jakie będą i w jakiej skali, gdyż dyspozytyw rosyjski jest dla wszystkich, nawet najbliższych aliantów, stałą tajemnicą. Przypuszczamy jednak, że armada ciężkich bombowców powinna być zupełnie duża. Naturalnie nie osiągnie skali brytyjskiej czy amerykańskiej, lecz będzie w każdym razie poważnym zagrożeniem dla wschodnich Niemiec, gdzie mieści się w tej chwili bardzo cenny przemysł niemiecki, dopiero co wyewakuowany z Nadrenii.

Przypuszczamy, że jednak niebawem nadejdzie chwila, gdy Niemcy będą pod atakiem trzech sił: tej z Wielkiej Brytanii, tej z Włoch i trzeciej rosyjskiej.

M. J. GORDON

Na jenieckim szlaku

W głąb Niemiec*

Poranna zbiórka odbywała się co dnia w cieniu rozłożystych orzechów włoskich, drzew z pewnością wiekowych, które w czasie naszego przybycia do koszarowego więzienia w Strasburgu niosły już zielone pąki przyszłego owocowania, niczym daleką zapowiedź jesieni. Ile razy patrzyłem na nie, stojąc rano w szeregu, na zbiórce, kiedy nas Niemcy liczyli po kilka razy, mimowoli rodziła się myśl i zapytanie — co też będzie z nami kiedy te orzechy dojrzeją i zaczną spadać? I za każdym razem odzywała się w człowieku niewyraźna, ale przecież pokutująca w głębi sumienia refleksja: niepodobieństwem jest chyba, aby to miało trwać aż do jesieni! Rozwiązanie już jest w powietrzu, rozstrzygnięcie już się szykuje, jeszcze trochę cierpliwości, a przebrniemy tę najcięższą przykrość, to zgubienie się, tę nieobecność, dławiącą jak ucisk.

Iskrę tej nierozumnej nadziei podsyciło przybycie do koszar jakiejś siwej damy, o której mówiono, że jest z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. W otoczeniu niemieckich oficerów i mimo ich nieustannej obecności stanowiła przedmiot ogromnej natarczywości jenieckich pytań i zaciekawienia. Odpowiadała na nie bladym, bezradnym uśmiechem, gestami ręki, w których wyrażała się nieśmiała zachęta i wzruszona życzliwość, niby tłumiony skrępowaniem sygnał dobrego serca osoby współczującej i wrażliwej na nasz los, ale zupełnie bezsilnej. Wobec pytań, rzucanych ze wszystkich stron, a przekrzykujących się na wzajem, zdawała się być zwolniona z obowiązku odpowiedzenia na którekolwiek. Sztywni, surowi mimo uprzejmości oficerowie przy niej stanowili poza tym skuteczną tamę, o którą rozbiły się próby porozumienia i nawiązania ludzkiego kontaktu z tą osobą, przybyłą z innego świata. Pozostawiła za sobą gorycz zawodu; odejście jej było ponownym zepchnięciem naszych złudzeń, naszego szaleńczego marzenia, na dno zwykłej, beznadziejnej, nie kończącej się codzienności zamknięcia.

Swego rodzaju wstrząsem w monotonii tego tła i żywota stała się dla mnie chwila kiedy na sporządzane przez starszych i t.zw. mężów zaufania między nami listy imienne, położyć trzeba było moje nowe, francuskie nazwisko. Używałem go po pierwszych trudnych chwilach przywykania, niby niechcący, nie przypisując dotąd pełnej wagi do tego faktu, nie odczuwając jeszcze całego ciężaru odpowiedzialności, jaki na mnie nakłada, jeszcze zawsze skłonny do zmian i szukający wybiegów albo innych dróg wyjścia z tej sytuacji, która zdawała mi się chwilami nad siły, nazbyt skomplikowana i trudna, aby ją można było rozsądnie i aż do skutku rozegrać. Następowało jednak po raz pierwszy oficjalne przypieczętowanie tego wyboru, od którego niepodobieństwem było by się odwrócić, ani odżegnać. Tu, nie gdzie indziej, były raz jeszcze decydujące rozstaje tych dróg, jakie leżały przede mną. Rozważanie ponowne wszystkich za i przeciw, podparte zdobytymi już doświadczeniami oraz niepokojącą perspektywą przyszłości niewiadomej i w gruncie rzeczy nic dobrego nie obiecującej, znowu mnie wprowadziło w rozterkę i w to poczucie niepewności, które tak męczy nerwy, głowę i serce. Gorączkowe sny ukazywały mi rzeczywistość jako koszmar, który mnie omotał, opętał i szarpie wątpliwościami.

A przecież nie ma wyboru. A przecież już się dokonała decyzja. Nie, dopóki tego nazwiska nie postawiłem na papierze wśród setek, wśród tysięcy innych nazwisk, to tak jakby się jeszcze nic nie stało. Ale przed chwilą właśnie wymagano ode mnie podpisu. Jakże go teraz odmówić? Trzeba było konsekwentnie wypełnić cyrograf, sprzedający duszę. Taka przecież była umowa z samym sobą. Nie pora teraz i nie tutaj miejsce, aby się jeszcze wahać albo cofać. Te listy imienne, rzecz zdawało by się normalna, ale której z początku nie wymagano wcale i nie sporządzano zupełnie, darząc nas obojętnością, do której zdążyliśmy przywyknąć, te listy imienne napsuły nam dużo krwi. Gdyby nas chcieli wypuścić — mówiono — to po co im listy imienne? O tak, działo się za kulisami coś dziwnego, robiły się jakieś przygotowania, tyczące nowej przyszłości. I tylko nikomu z nas nie pozwolono przeniknąć jej tajemnic. Zapytany o nie żołnierz niemiecki odpowiedział z bezczelnym śmiechem: A co w a s to obchodzi? Że niby nie nasza to sprawa co z nami będzie! Oburzyli się niejedni na to potraktowanie naszej niecierpliwości. A cóż my to — bydło z przeproszeniem?

Ale nie było ani wytłumaczenia ani zmiany tego stanowiska ze strony strażników niemieckich, którzy dobrze przecież wiedzieli, co się święci.

Wieczorem któregoś dnia gruchnęła nagle wiadomość, że nazajutrz nastąpi wymarsz. Niby to spodziewali się wszyscy, że tak będzie, a przecież przyjęto ten rozkaz do wiadomości z uczuciem pogłębionej troski. Specjaliści od przepowiedni, różdżkarze i chiromanci, jasnowidze nasi domorośli i układacze pasjansów zabrali się raz jeszcze do pośpiesznego indagowania fortuny, co też szykuje za niespodziankę. Podzielone były zdania aż do chwili, kiedy polecono nam likwidować się co prędzej, kiedy w podwórzu pojawił się wzmocniony oddział eskorty, kiedy poczęto nas przeliczać raz jeszcze tam i z powrotem, już ustawionych w rzędy, już ugiętych pod ciężarem tobołków i marzących tylko o jednym: aby nam nie kazano iść pieszo, bo tego nikt nie wytrzyma po miesięcznej kuracji postnej.

Słaniali się ludzie na słońcu, podtrzymywani w szeregu przez towarzyszy wśród gromkich krzyków i komend, aż wreszcie otwarto na oścież wyjściową bramę i cała ta kolumna poczęła się powoli wysuwać w pustą ulicę. Na ulicy znowu postój. Z sąsiednich koszar wyglądały przez okna liczne głowy takich samych jeńców, z zaciekawieniem patrzące co się też z nami stanie. Zaczęło się od wykrzykiwanych pozdrowień i uwag, którymi częstowali się jeńcy — ci odprowadzani i ci zostający. Padały coraz gęstsze pytania z okien i coraz częstsze odpowiedzi z ulicy. Cicha i pusta przed chwilą, zanosiła się teraz tupotem tysięcy nóg i gwarem niezliczonych słów padających z każdego okna aż po najwyższe piętro. Przez chwilę Niemcy puścili wolne wodze tym wybuchom jenieckiej gadatliwości po wielu tygodniach odosobnienia i postu. Ale teraz już nie mogą sobie z nimi poradzić. Rozdzierający wrzask komend, wykrzykiwania groźne i grożące, szturchańce i popychania kolbą uciszają wprawdzie szeregi stojące na ulicy, pod bezpośrednią opieką eskort, ale nic nie pomaga wygrażanie budynkom koszarowym, w których wszystkie okna rozgadane są teraz a nawet wyraźnie rozbawione bezradnością niemieckich strażników, którzy z dołu, z ulicy próbują przywrócić porządek i spokój.

—Zamykać okna! Zamykać okna! — wrzeszczy wściekły niemiecki porucznik, zadzierając głowę ku wyzywającej ścianie koszar.

Odpowiadają mu śmiechy, cierpkie, cięte uwagi tłumu, który na tę odległość pewien jest bezkarności i czuje się zbiorowo poza wszelką odpowiedzialnością. Nie wytrzymał rozdrażniony Niemiec, już za późno teraz zamykać okna, łomocą między budynkami ostre pogłosy wystrzałów, świszczą jak uderzenia bicza, pryskają gzymsy i odłupane cząsteczki cegieł — w oknach poznikały głowy od razu, koszary zdają się puste, kołyszą się tylko na zawiasach niedomknięte połowy okien. Jest nagle cicho jak makiem zasiał i tylko w drżącym i jeszcze jakby ogłuchłym od strzałów powietrzu rozlegają się dzikie, ochrypłe krzyki oficera, który triumfująco i wściekle lży cały ten milczący budynek koszarowy, który śmiał mu się wszystkimi swymi oknami i całą ludzką zawartością przeciwstawić.

—Ja wam pokażę! Ja was uspokoję! Ja was nauczę dyscypliny — piorunuje resztkami oburzenia, podczas gdy jego żołnierze szczękają złowrogo zamkami karabinów, aby pokazać nam, że są naładowane na ostro. Karabiny maszynowe ustawione na rogach ulic już teraz nie mają na sobie pokrowców, błyskają z daleka na swoich podstawach nieprzyjemną gotowością skierowanych ku nam luf.

Wtuliliśmy głowy w ramiona i każdy na swój sposób uszy położył po sobie — niepodobna wyrazić wściekłości ani goryczy, jakie ta scena w nas budzi. Dają nam znowu skosztować tej bezradności, jaka przesyca życie jeńca, człowieka bez prawa protestu, bez możności oburzenia się na cokolwiek, poddanego wszystkim kaprysom zbrojnej przemocy wroga. Ot, bydło właśnie, popędzane na drodze, którą ruszyła kolumna.

Dopiero na przedmieściu, wśród domów coraz rzadszych a coraz częstszych ogrodów i wreszcie pól i wreszcie szerokości i dali, szumiącej zapachem bliskich żniw i lipcowego kwitnienia, dopiero teraz nam, zamkniętym przez kilka tygodni w dusznej ciasnocie koszar, otworzyły się znowu zmysły na czar wolnego świata, o którym kazano nam zapomnieć. Ach, jak dobrze czuć znowu na twarzy pachnący powiew wiatru, jak dobrze oddychać ogrodem i szumem przestrzeni polnej, jak odżywczo i kojąco działa na cały organizm, wyczerpany oczekiwaniem, ta zewnętrzna bujność życia, od której w głowie się kręci, która mąci wzrok i upaja myśli. To właśnie jest treść swobody — tak się nam zdaje przez chwilę i takim zapomnieniem rzeczywistości żyje i odetchnęła głęboko maszerująca kolumna.

Ale zmęczenie wnet bierze górę. Nie, nie podobna długo tak iść — to już przecież nie ci sami ludzie, których wzięto w Wogezach najedzonych, wypoczętych właściwie po całych dniach błądzenia i spania po lasach, a w każdym razie w pełni tego fizycznego treningu, jaki daje każdemu front, walka, wojna. Ci ludzie wloką się już tylko resztką wytrzymałości i woli, pozbyli się energii i fantazji w przymusowym swoim mieszkaniu pod strażą, w ciągu tygodni niedojadania, w przygnębiającym okresie bezczynności, tego najgorszego gatunku lenistwa bez wygód i bez wypoczynku. Ci ludzie pragną teraz już tylko dotarcia do jakiejś mety, wszystko jedno gdzie i jaka będzie.

Z kierunku świata i znajomości podmiejskich okolic Strasburga ci i owi próbują wyciągnąć wnioski, dokąd prowadzi ta droga. Czy do Francji? — czy wzdłuż Renu tylko, na drugą stronę, na tę stronę beznadziejną i przerażającą, która grozi nam od wielu dni wciągnięciem jak potrzask i pułapka, wchłonięciem jak przepaść, kędy zginą i znikną ostatnie perspektywy ratunku.

Wyjaśnia się nagle sytuacja. W pierwszych szeregach, które skręciły w boczną drogę już się szept roznosi i przenika coraz głębiej w szeregi, a i widok teraz przed nami potwierdza magiczne słowo, rzucone z czoła kolumny: pociąg. W szczerym polu na jakimś bocznym torze stał ten pociąg, złożony z kilkudziesięciu towarowych wagonów, stał ten pociąg — czekający na nas. Zatrzepotały się niejedne serca, w niejednych głowach zapaliły się znowu straszne wątpliwości, równoważące ten jakiś przebłysk szaleńczych złudzeń, które się w myślach jeńca łatwo lęgną i rozrastają nieraz nieodpowiedzialne, a przecież tak bardzo, tak bardzo pobudzające.

Ustawiono nas frontem do wagonów, wagony są bydlęce, 8 koni albo 40 ludzi. Podzielono na grupy tych właśnie 40 ludzi — na rozkaz każą wdrapywać się do owych ciemnych, cuchnących nawozem przedziałów, gdzie przed nami chyba doprawdy było właśnie osiem koni. Zapchali do każdego tych czterdziestu i jeszcze paru maruderów nadprogramowych i jeszcze po trzech żołnierzy eskorty. Ciasno w przedziale, twardo na brudnych deskach. Przykucnąwszy albo zgoła siedząc, nóg tu nawet wyciągnąć nie sposób, bo po nich chodzą inni. Ścisk największy przy tych szparach zakratowanych, które zastępują okna. Pociąg stoi. Żeby tak już pojechał. Nieznośne jest czekanie w tej sytuacji.

Uśmiechają się żołnierze Niemcy zasypywani znowu pytaniami o kierunek i cel tej jazdy. Pojedziecie do pięknego kraju — mówią. — Do Niemiec — mówią. — Na robotę — powtarzają. — Będziecie mieli co jeść u chłopa — śmieją się. Sami pewno chłopi w cywilnym życiu. Wiozą robotnika swoim ludziom. Wiozą ten żywy łup — oni, żołnierze i zwycięzcy. Maluje się na ich twarzach zadowolona beztroska, maluje się duma i przyjemność w sprawowaniu tej służby.

Straszliwy jest rozdźwięk uczuć między nimi i nami w tej chwili. Przepaść nie do przebycia. Różnica nie do zatarcia. Jej miarą jest tylko nasz ścisk serca, lekkie nudności lęku, jakie chwilami szarpią wnętrznościami, drobne dreszcze niepokoju, gdy się przemyka przez głowę i pierś uczucie zakłopotania, bezradności, jakby powiewem czyhającej zguby. Cała zewnętrzność życia, te cztery ściany wagonu, w których siedzimy i światło cedzone przez szparki, dozowane skąpo i zazdrośnie dla tych ludzi spragnionych przestrzeni, zapach zwierzęcy, którym zieje to nasze zamknięcie, postacie niemieckich żołnierzy i ich krzyki wzdłuż pociągu — to wszystko wydaje się teraz zmysłom moim dalekie, nierzeczywiste. Istotna jest tylko świadomość zapadania klamki, zapadania w przepaść, zapadania decyzji przeznaczeń, która mnie skazała na wywiezienie do Niemiec i wyrok właśnie wypełnia.

Rozważałem sobie tę możliwość już nieraz, zawsze jednak na samym dnie duszy przekonany, że się jej wymknę skutecznie, tak jak to z śmiercią lub ze starością bywa. Zdaje się człowiekowi do końca, że i starość i śmierć innych dotyczy jedynie i innym grozi, że natomiast jest niepodobieństwem, aby miała jego samego spotkać.

Tu się mieści źródło przerażenia — w chwili, gdy sobie przyjdzie uświadomić nagle, że samemu pada się ofiarą przeznaczeń rezerwowanych w myśli i świadomości najczulszej bliźnim, innym, nie sobie.

ALEKSANDER JANTA

* Rozdział z książki p.t. "Pamiętnik niewoli."

Polscy kommandosi walczą

We Włoszech, styczeń 1944 r.

Ostatnio ujawniono, że na froncie włoskim walczy oddział kommandosów polskich. Obecnie możemy podać pewne szczegóły tych walk.

Oddział kommandosów polskich przybył do Włoch pod koniec ubiegłego roku. Pierwsze dni oddział ten spędził w strefie przyfrontowej przygotowując się ostatecznie do oczekujących go działań bojowych. Po 10 dniach oddział kommandosów przesunięty został na odcinek frontu zajmowany przez korpus brytyjski, a znajdujący się w górzystej części terenu nad rzeką S. Wybrano odcinek odpowiedni dla pierwszych działań oddziału tak, aby mógł on nabrać doświadczenia bojowego w czynnym patrolowaniu i przenikaniu w linie nieprzyjacielskie. Oddział polski podlega obecnie bezpośrednio pułkowi rozpoznawczemu dywizji brytyjskiej i razem z nim prowadzi działania.

Teren jest bardzo trudny: bezdroże i urwiste góry do wysokości 5.500 stóp. Klimat zimny i suchy gdy pogoda ładna, lecz wilgotny, gdy chmury opadają nisko, co w obecnej porze roku ma najczęściej miejsce. Widoczność jest ograniczona normalnie do 30 yardów, lecz z chwilą, gdy chmury na chwilę ustąpią otwiera się daleki widok na 10 — 15 mil. Rzeka S. nie jest wezbrana, ale dość głęboka i o gwałtownym nurcie. Na froncie działania oddziału polskiego nie ma na rzece mostów.

Wsie są w ruinach, gdyż zostały one systematycznie zniszczone przez Niemców przy wycofywaniu się, aby uniemożliwić Sprzymierzonym korzystanie z nich jako kwater zimowych. Podobnie poniszczono drogi. Cały ruch odbywa się wyłącznie pieszo. Oddział polski w ciągu tygodnia pobytu na linii wykonał wiele patroli na drugą stronę rzeki i miał sporo utarczek z nieprzyjacielem. Trudno opisywać wszystkie te działania w krótkim komunikacie. Ograniczymy się do charakterystycznego opisu jednego z nich.

Już pierwszej nocy po zajęciu odcinka Polacy spatrolowali rzekę z zamiarem wyszukania przejść dla działań nocy następnej. Chodziło specjalnie o przetrząśnięcie zabudowań po drugiej stronie rzeki. Wiedziano, że są one zajmowane przez Niemców w czasie niektórych nocy. Rozpoznając brzegi, patrole wykryły nieprzyjacielskie miny szrapnelowe po drugiej stronie rzeki. Ze względu na duże niebezpieczeństwa patrolowania w nocy w terenie pokrytym minami, dowódca oddziału zdecydował przeprowadzić rozpoznanie za dnia.

Następnego dnia popołudniu dowódca polski osobiście poprowadził patrol na znaczną odległość w głąb terenu poza rzeką i przeszukał większość zabudowań. W czasie tego działania patrol otrzymał ogień z jednego z budynków. Nastąpiła ostra wymiana strzałów. Polacy skierowali swój ogień na drzwi i okna budynku tak, że Niemcy zostali unieruchomieni. Wzięcie jednak szturmem domu w terenie otwartym i za dnia było przedsięwzięciem zbyt ryzykownym, zwłaszcza, gdy brak było odpowiedniej broni do zburzenia ścian domu.

W czasie tego spotkania jeden z Polaków został ranny w nogę. Dowódca oddziału wraz z innym żołnierzem podczołgali się w otwartym terenie do rannego i wynieśli go poza zasięg broni nieprzyjacielskiej — poczym patrol powrócił.

Jednej z następnych nocy patrol nieprzyjaciela wszedł do wsi na naszym przedpolu. Czujka polska skierowała swą broń na zbliżających się Niemców. Nastąpiła wymiana strzałów. Wybiegli ludzie z placówki. Niemcy uszli. Po stronie polskiej jeden żołnierz został lekko ranny w ramię. Niemcy, jak nazajutrz stwierdzono przez ludność włoską, mieli jednego zabitego i dwóch rannych.

Niebawem doszło do większej akcji całego polskiego oddziału kommando. Pewnego dnia, w końcu ub.r. o godz. 5-tej po południu przybył do kwater polskich włoski cywil. Podał on, że trzy dni temu Niemcy zatrzymali go po drugiej stronie rzeki i wypytywali o szczegóły ugrupowania polskiego oddziału. Mówił on, że słyszał o zamiarze ataku oddziału niemieckiego w sile około 200 strzelców górskich na miejscowość N., celem zniszczenia brytyjskich dział polowych znajdujących się w tym rejonie. Oddział atakujący ma rzekomo przekroczyć rzekę pod miejscowością M. w godzinach wieczornych tegoż dnia. Wspomniany informator otrzymał rozkaz służenia Niemcom za przewodnika. Podał on dodatkowo, że widział 8 autobusów załadowanych strzelcami górskimi. Opowiedział on również o rozpoznaniu oficerskim, które widział na wysuniętym stoku góry po stronie nieprzyjaciela.

Trudno było stwierdzić, czy wszystkie te informacje były prawdziwe. Brzmiały one jednak prawdopodobnie, wobec tego artyleria brytyjska w rejonie N. otrzymała rozkaz ostrzelania przejść na rzece S. koło miejscowości M. w godzinach wieczornych. Nakazane zostało specjalne pogotowie w ciągu całej nocy. Wzmocniono czujki, posterunki i zarządzono pogotowie odwodów.

O godzinie 8-ej wieczorem oddział polski zaatakowany został ze wschodu przez dwie grupy niemieckie, każda w sile około 40 ludzi. Trzy kwadranse później inny oddział niemiecki, w przybliżeniu tej samej wielkości, rozpoczął atak na nasze pozycje od strony zachodniej. W następstwie Polacy zostali otoczeni i do północy odpierają ataki przeprowadzane z różnych stron. W ciągu tego czasu artyleria brytyjska, zgodnie z rozkazami, przeprowadza koncentrację ognia na przejścia przez rzekę pod miejscowością M. O północy akcja zamiera.

Nad ranem jednak Niemcy wznawiają swe ataki. Polacy nie ustępują, wspierani przez artylerię. Po dalszych dwóch godzinach walk Niemcy nic nie wskórawszy, wycofują się. W ślad za nimi idą nasze patrole. Nadchodzi również szwadron odwodowy brytyjskiego pułku rozpoznawczego, który przyłącza się do akcji przeszukiwania brzegów rzeki. Niemców nie ma.

Stało się oczywiste, że nieprzyjaciel nie podejrzewał przyjęcia, które go spotkało. Liczył on zapewne na łatwy sukces i zawiódł się. Polacy wytrzymali siłami znacznie słabszymi w ciągu dziewięciu godzin gwałtowne uderzenia niemieckie, ponosząc straty trzech lekko rannych. Niemcy wycofując się unieśli swoich zabitych i rannych, liczby więc ich nie można było ustalić.

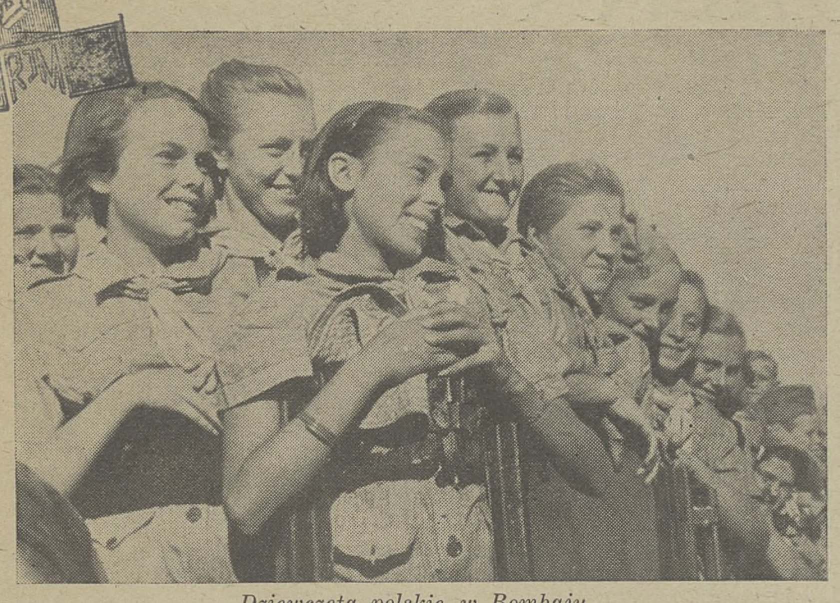
Oddział kommandosów polskich walczących we Włoszech został sformowany swego czasu w Wielkiej Brytanii i przeszedł tu specjalne wyszkolenie. Dowódcą tego oddziału jest oficer polski, który walczył w kampaniach wrześniowej i francuskiej, uzyskując Srebrny Krzyż "Virtuti Militari."

Polscy kommandosi walcząc przeciwko Niemcom zyskali już sobie uznanie dowódcy oddziałów Commando, generała brytyjskiego, który ich scharakteryzował następująco: "Żołnierze polscy okazali się wspaniałymi bojownikami. Zdobyli oni sobie poważanie i podziw żołnierzy pułku rozpoznawczego, z którymi współpracowali oraz generała dowódcy dywizji."

Dowódca dywizji brytyjskiej nazajutrz po wyżej opisanej walce, przesłał do dowódcy polskich kommandosów list napisany po polsku, w którym gratulował ich obrony.

N.Ż.

POLSKIE DZIECI NA TUŁACZYCH SZLAKACH


Dziewczęta polskie w Bombaju

Dwie są podobno najczystsze i najpiękniejsze rzeczy na świecie: błękit pogodnego nieba i oczy dziecka. Bo serce ludzkie, ta najcudowniejsza lampa, jaką Stwórca zapalił na ziemi, prześwieca bezpośrednio tylko przez oczy dzieci i świętych. My, ludzie zwykli, chowamy serce głęboko, aby nikt nie domyślił się, ile w nim niezasklepionych ran, a dla świata przesłaniamy oczy nasze zdawkowym, uprzejmym uśmiechem.

Dla mnie — jasne oczy polskiego dziecka, z główką jak len i buzią uśmiechniętą do całego świata, piękniejsze są nawet od błękitu niebios. I gdy w tych oczach zobaczę strach, żałość lub bezsilną prośbę, zdaje mi się wtedy, że ktoś brutalną ręką ścisnął moje serce i wtłacza mi je do gardła.

Pamiętam takie oczy pełne bezsilnej żałości. Pamiętam, jak dziś. Mrok kładł się już na śniegu, pod stacją kolejową czerniał tłum kobiet i dzieci, a nas wiedziono pod bagnetami, by załadować w bydlęcy wagon i powieźć na wschód. Dzień był pierwszy stycznia 1940 roku — miejsce: Skole. Szedłem z boku szeregu. W tłumie czaił się powstrzymywany szloch. Stanęliśmy na moment. Odwróciłem głowę i starałem się uśmiechnąć. Nie wyszło.

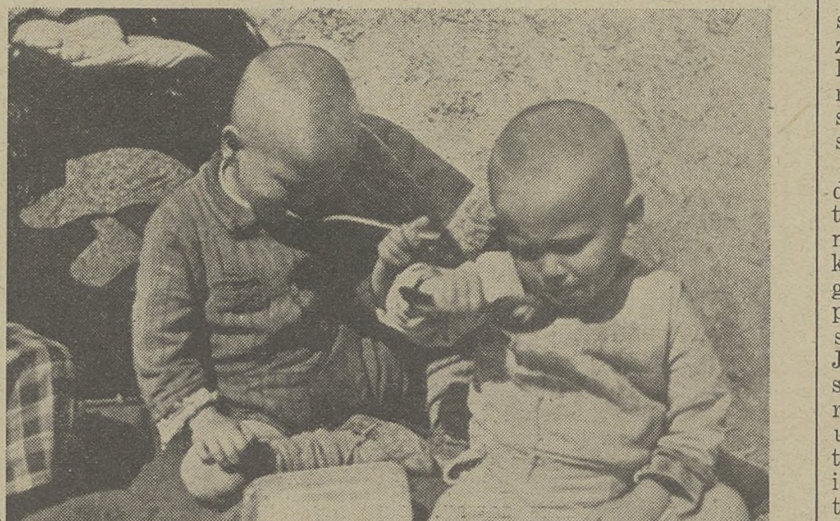
Ale wtedy oczy moje spotkały się z oczyma małej, może ośmioletniej dziewczynki. Dziecko trzymało w rączce kawał chleba. Rączka wyciągnęła się do mnie, oczka były otwarte szeroko, boleśnie. Wyciągnąłem i ja rękę i — niespodziewanie dla samego siebie—udało mi się uśmiechnąć. Ośmielająco, trochę zuchowato, prosto w te biedne oczy. Ale szereg ruszył. Między mną i dzieckiem stanął żołnierz i zakomenderował "*wpieriod.*"

Dziewczynka wyrwała się z tłumu i zaczęła biec za mną. Z oczyma utkwionymi w moje, z wyciągniętą rączką. Żołnierz przegradzał nas ciągle. Usłyszałem głos dziewczynki: "Proszę pozwolić, ja tylko dam chleb". Błagalny, dziecięcy głos. Żołnierz odpędzał ją, ale robił to jakoś nieśmiało i łagodnie. Powtarzał: "*Nie lzia.*" Tak doszliśmy do wagonu. I wtedy żołnierz oglądnął się na około i odstąpił. Dziewczynka przyskoczyła do mnie. Bezsilna żałość w jej oczach ustąpiła na sekundę uśmiechowi ulgi. Wziąłem chleb i przytrzymawszy na moment jej zziębniętą rączynę w dłoni powiedziałem: "Dziękuję Ci, kochanie. Jak Ci na imię." Odpowiedziała: "Krzysia." Żołnierz oglądnął się i widząc, że już po wszystkim, burknął: "*Nu, dowolno.*" Ostatnie spojrzenie — dziewczynka zniknęła w tłumie.

Krzysiu, dzielna, mała Polko, Tobie poświęcam ten artykuł. Może i Ciebie wywieziono do Rosji, jak tyle innych polskich dzieci. Może los był łaskawy dla Ciebie i jesteś teraz gdzieś na szerokim świecie, pomiędzy jedynymi polskimi dziećmi, o których można powiedzieć, że są bezpieczne od głodu, ognia i wojny. Chcę w to wierzyć, pisząc o tych właśnie dzieciach. Pisząc, będę musiał być suchy i rzeczowy. Będę musiał dawać cyfry, nazwy, statystyki. Ale za każdą cyfrą i nazwą będzie tkwiła myśl: może ty właśnie tam jesteś, dzielna, mała, kochana Krzysiu.

DWIE FALE

Wśród czterdziestu kilku tysięcy cywilnej ludności, wyewakuowanej z Rosji, znajduje


Pierwszy etap dożywiania

się do czternastu tysięcy dzieci i młodzieży poniżej lat 16-tu. W tym sporo sierot zupełnych lub częściowych. W ogóle rozbite rodziny wśród wyewakuowanej ludności należą do reguły, nie do wyjątków. Powodem tego są nie tylko zgony — chociaż epidemie tyfusu w południowej Rosji zdziesiątkowały bezsprzecznie naszą wycieńczoną ludność. W daleko większym stopniu działały przyczyny następujące.

Pierwsze fale aresztowań w okupacji sowieckiej objęły przede wszystkim mężczyzn: ojców, braci i synów polskich rodzin, którzy bądź to brali udział w życiu politycznym lub nawet tylko społecznym, bądź to byli urzędnikami, zwłaszcza sędziami, lub po prostu tylko byli zbyt patriotycznie nastawieni. Rodziny ich, jak również i rodziny jeńców wojennych pozostały z początku na miejscu. Ale pozostała na miejscu rodzina stanowiła ośrodek wspomnień, była przedmiotem współczucia. Wobec tego, gdy uporano się z elementem aktywnym, przystąpiono do masowego wysiedlania tych rodzin na t.zw. "*specpieriesielenie,*" głównie do Kazachstanu i republik okolicznych. Z punktu widzenia czysto sowieckiego interesu może to da się jakoś usprawiedliwić. Z punktu widzenia ogólno-ludzkiego — mój Boże . . . czyż potrzeba komentarzy?

To była pierwsza fala uderzająca w rodziny. Zresztą, jeśli nawet aresztowano męża i żonę razem, wysyłano ich z reguły do różnych obozów pracy.

W dwa lata mniej więcej po pierwszej fali aresztowań zawarty został traktat polsko-rosyjski. Masy zwolnionych z więzień, obozów pracy i "posiołków" zaczęły płynąć na południe Rosji. Część mężczyzn w wieku poborowym poszła wprost do organizującej się armii polskiej. Reszta przede wszystkim do kołchozów. Część rodzin zdołała się w tym okresie dowiedzieć o sobie na wzajem. Mały procent zdołał się połączyć. Ale zato wielu mężczyzn, którym udało się razem ze swymi rodzinami pojść na "*specpieriesielenie,*" a zwłaszcza chłopców w wieku 16-18 lat, rozstało się w tym okresie ze swymi rodzinami, by wstąpić do wojska lub junaków.

W początku kwietnia 1942 nastąpiła pierwsza faza ewakuacji wojska polskiego z Rosji, w początku lata druga. W zasadzie miały z nimi wyjechać ich rodziny, których liczbę ograniczono do czterdziestu tysięcy ludzi na ogólną ilość około 80 tysięcy żołnierzy i oficerów. Ale terminy ewakuacji były ograniczone, rodziny daleko lub niewiadomo gdzie. Komunikacja więcej, niż trudna w ogóle, miejscami beznadziejna. Niektóre partie ludzi szły piechotą na dużych przestrzeniach.

Typowym przykładem jest ośmioletni chłopczyk, niosący na plecach swoją małą kilkunastomiesięczną siostrzyczkę, który szczęśliwie dobrnął na punkt zborny i zdołał się wydostać wraz ze swym drogim ciężarem do Indii. Oficer angielski "*on special duty*" przyjmujący polskie dzieci z ramienia Rządu Indyjskiego, nazywa tego chłopczyka bohaterem. Takich małych bohaterów i bohaterek było więcej.

Wszystko to sprawiło, że by wykorzystać przyznaną ilość ewakuowanych — wyjechały częściowo rodziny inne, zamiast właściwych rodzin żołnierzy.

To była druga fala rozbicia rodzin polskich.


W jadalni obozu nr. 2 pod Teheranem

INDIE

Sprawa przyjęcia polskich dzieci przez Indie zapoczątkowana została oficjalnie w indyjskich sferach rządowych telegramem Sekretarza Stanu do Wice-króla Indii w październiku 1941 r. Pierwotny pomysł rozmieszczenia dzieci na czas wojny u rodzin angielskich w Indiach ostatecznie skrystalizował się w postanowieniu, aby ich nierozdzielać i wybudować dla nich osobne osiedle.

W styczniu 1942 Rząd Indyjski udzielił pozwolenia na wjazd do Indii 500 polskich dzieci z Rosji wraz z odpowiednią liczbą dorosłych opiekunek i lekarzy. Maharadża Jam Saheb ofiarował miejsce w swej nadmorskiej posiadłości Balachedi w Kathiawar i rozpoczęto budowę osiedla. Na pierwsze koszta przyznano z Funduszu Celów Wojennych—*War Purposes Fund* — Wicekróla Indii kwotę 50,000 rupii. Dalsze środki finansowe dał już Rząd Polski.

Pierwsza partia dzieci składająca się z 90 dziewczynek i 71 chłopców z 11 opiekunkami i księdzem przyjechała — po zatrzymaniu się w Meshedzie, Persja—na granicę indyjską w dniu 9 kwietnia 1942. Na stacjach przyjmowano je mnóstwem jedzenia, owoców, dawano zabawki. Było to strasznie miłe, ale dzieci objadały się po długotrwałej głodówce tak fantastycznie, że po nocach musiano wzywać lekarzy. Stan psychiczny dzieciaków był doskonały. Dużo gorszy był stan zdrowia. Badanie lekarskie przeprowadzone w Bombaju wykazało:

20 przypadków suchot
11 przypadków kokluszu
41 ostrego zapalenia migdałków, wymagających natychmiastowej operacji
44 parchów i innych chorób skórnych.

A więc na 161, dzieci było 116 chorych . . .

Następna partia 220 dzieci z 17 opiekunkami przybyła na granicę Indii w sierpniu 1942. W czerwcu tegoż roku Rząd Indyjski zgodził się przyjąć dalsze 500 dzieci i pomieścić cały ten tysiąc w Jamnagar-Balachedi. W kilka miesięcy później zgodzono się na wpuszczenie do Indii dalszych 10,000 dzieci z Rosji.

Niestety Rząd Sowiecki nie dał swojej zgody. Potem nastąpiło zerwanie przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z Polską i nadzieja wydostania dzieci stała się znikoma. Zdołało się przedostać do Indii zaledwie tysiąc . . .

Po przeniesieniu około 1,500 dzieci z Teheranu do Indii, jest ich tam w obecnej chwili 2461. Rozmieszczono je w czterech ośrodkach, a mianowicie: w Kohlspur, gdzie zorganizowano dla nich dwa przedszkola, dwie szkoły powszechne i jedno gimnazujm; w Jamnagar, gdzie istnieje przedszkole i szkoła powszechna; w Karachi, gdzie w obozie przejściowym uchodźców kierowanych do innych terenów prowadzi się przedszkole i dwie szkoły powszechne. Poza tym chore dzieci i przebywające na rekonwalescencji zgrupowane są w ośrodku uzdrowiskowym Panchgani.

Przed rokiem właśnie widziałem roześmiane dziecięce zastępy przekraczające granicę w drodze do Indii, które wydawały się im krainą czarów. W oczach ich widniała wizja Wielkiej Przygody.

Dziś myśl moja biegnie do nich znowu.

Haneczko i Zosiu, drogie moje małe przyjaciółki, czy pamiętacie jak was usypiałem bajeczkami w Kujbyszewie. Zygmusiu, kochany i dzielny, pamiętasz jak planowaliśmy w Teheranie, że pojedziemy razem samochodem przez Afrykę.

Dziś jesteście wszyscy w Jamnagarze. Rano stajecie wszyscy w szeregach i nad głowami waszymi wypływa na maszt amarantowo-biała polska flaga. I łopoce tak w podmuchach indyjskiego wiatru od morza przez dzień cały, patrząc z góry, jak się uczycie, jak się bawicie (czy mały piesek, którego wam dałem w Mechedzie, jest jeszcze z wami ?) i patronuje wam aż do wieczora, by spłynąć znów w dół w promieniach zachodzącego słońca przy waszym wieczornym apelu . . .

Prosiliście, żeby o was pamiętać—nie zapomniałem. Nie zapominajcie i wy — aż do spotkania w Polsce. Oby jak najprędzej.

PERSJA

Do Persji przypłynęły dzieci polskie przez Port Pahlevi nad brzegiem Morza Kaspijskiego, razem z falą ewakuowanych. Rozmieszczone są obecnie w dwóch wielkich grupach w Teheranie i w Ispahanie. Jest ich razem przeszło 4,000.

W Teheranie jest w tej chwili 2840 dzieci przy czym wszystkie są objęte szkołą powszechną lub średnią. Działają tam dwa gimnazja dla dziewczynek i dwa koedukacyjne. Jest jedno liceum i szkoła handlowa dla dziewcząt.

Oczywiście, proszę sobie nie wyobrażać, że szkoła, to znaczy piękny budynek, w którym dzieci siedzą w schludnych ławkach. Dało się to urzeczywistnić na razie w minimalnym procencie. Szkoła, a raczej nauka szkolna, odbywa się w barakach. Dzieci siedziały do niedawna jeszcze na cegiełkach a zeszyty trzymały na kolanach. Dziś sytuacja poprawiła się już, ale ciągle daleka jest od ideału.

Drugim wielkim skupiskiem dzieci polskich jest Ispahan, w którym znajduje się obecnie 1409 dziewcząt i chłopców. Propozycja pomieszczenia naszych dzieci w Ispahanie wyszła najpierw od anglikańskiego biskupa Ispahanu, który ofiarował pomieszczenie na kilkaset dzieci. Papieski delegat ofiarował miejsce we francuskich misjach katolickich dla dalszych dzieci i z taką samą propozycją wystąpił jeden z perskich książąt, odstępując na ten cel część swego pałacu. Rząd Polski wynajął później szereg domów rozrzuconych po całym Ispahanie—ślicznym i pełnym zieleni mieście i w nich mieszczą się internaty i szkoły.

Dwa zakłady dla dzieci poniżej lat sześciu obejmują około 200 dzieci, z których 80% jest zupełnymi sierotami. Oprócz szkół powszechnych są dwa gimnazja dla dziewcząt i jedno dla chłopców, szkoły handlowe i przemysłowe, w których uczą się rytownictwa, introligatorstwa, tkania dywanów, stolarstwa, gospodarstwa domowego i szycia.

Warunki mieszkaniowe dzieci w Ispahanie są lepsze, niż w Teheranie. Wyżywienie jest również obfitsze, chociaż nie można go nazwać złym i w Teheranie. Specjalne kwoty są przeznaczone na dodatkowe dożywianie dzieci, które na ogół ciągle odczuwają jeszcze następstwa poprzedniego okresu życia.

PALESTYNA

Dzieci polskie, których znajduje się obecnie w Palestynie około 3,000 przybyły tam razem z polską armią wyewakuowaną z Rosji. Są to w ogromnej większości junacy i junaczki, którzy mieszkają w koszarach wojskowych /barakach/, i których wychowanie połączone jest równocześnie z przysposobieniem wojskowym. Szkoły junackie rozsiane są po całej Palestynie a mianowicie:

Junacka młodsza szkoła powszechna w Nazarecie, 367 chłopców.

Junacka starsza szkoła powszechna w Quastina, 361 chłopców.

Szkoła powszechna młodszych ochotniczek w Gedera, 88 dziewcząt.

Szkoły średnie ogólno-kształcące:

Junacka szkoła kadetów — specjalne przysposobienie wojskowe w Quastina, 585 chłopców.

Gimnazjum i liceum młodszych ochotniczek w Rehovot, 346 dziewcząt.

Szkoły zawodowe obejmują przedmioty ogólno-kształcące na poziomie V i VI klasy powszechnej, a mają za zadanie przygotować ślusarzy, kowali, elektrotechników, spawaczy, blacharzy, mechaników precyzyjnych i t.p. Nauka przedmiotów ogólnokształcących jest udzielana przez nauczycieli polskich w wymiarze 4-5 godzin dziennie, a przeszkolenie zawodowe odbywa się w warsztatach angielskich pod nadzorem polsko-angielskim. Takie szkoły mieszczą się w Beith Nabala, w Sarafand. pod Haifą.

Prowadzi się również jednoroczny kurs spółdzielczo-handlowy dla młodszych ochotniczek połączony z nauką ogrodownictwa, w Gedera.

Należy zaznaczyć, że przed przybyciem do Palestyny junaków, ewakuowanych z Rosji, istniało już w Tel-Aviv gimnazjum, liceum, szkoła powszechna i przedszkole. Obecnie do tych szkół "cywilnych" dołączyły się 3 szkoły żeńskie w Ain-Karem: gimnazjum, szkoła powszechna i przedszkole. Ilość młodzieży w tych wszystkich szkołach "cywilnych" wynosi 266.

Dla młodzieży dotkniętej jaglicą zorganizowane są trzy osobne klasy odizolowane.

Specjalnie trzeba poruszyć sprawę młodzieży żydowskiej. Ponieważ Rząd Sowiecki zajął stanowisko, iż dzieci żydowskie nie mają obywatelstwa polskiego, było wiele kłopotu z wydostaniem ich z Rosji. Ostatecznie wydostano 720 dzieci żydowskich do Persji. Na życzenie Agencji Palestyńskiej Rząd Polski zgodził się przetransportować je do Palestyny i oddać ich wychowanie w ręce żydowskie.

I tutaj zaczęły się kłopoty z transportem. Dzieci polskie jechały z armią polską do Palestyny przez Irak. Rząd Iraku bardzo ostro zaprotestował przeciw przemycaniu w ten sposób dzieci żydowskich—o mało nie doszło do dyplomatycznego przesilenia. Wiadomo, że Arabom zależy na tym, żeby w Palestynie było jak najmniej Żydów, a tu Polacy zaczynają ich przewozić cichcem przez ich własne terytorium. I to ci sami Polacy, których się w świecie anglo-saskim podejrzewa o antysemityzm . . . Zrobił się wielki kram i wkońcu trzeba było żydowskie dzieci przewieźć okrętem przez Zatokę Perską, Morze Arabskie i Morze Czerwone wprost do Palestyny. Tam Rząd Polski dopłaca na każde żydowskie dziecko kwotę, jaką przeznacza się na dzieci polskie w Teheranie, a nadwyżkę—bo w Palestynie jest drożej—dopłaca Agencja Palestyńska.

Tak przedstawia się sprawa żydowskich dzieci wyewakuowanych z Rosji, która w świecie arabskim zrobiła nam markę zapamiętałych filosemitów.


Mali towarzysze doli

EGIPT

Szkoły w Egipcie są tego samego typu, co w Palestynie i zostały tam przeważnie niedawno przeniesione z Palestyny. Obejmują one w sumie 844 dzieci.

A więc jest gimnazjum mechaniczno-lotnicze przy warsztatach R.A.F.-u pod Kairem, junackie szkoły mechaniczne przy warsztatach angielskich w Tel-el-Kabir i junacka szkoła łączności w obozie wojskowym w Mena pod Kairem.

AFRYKA

Afryka to największe skupisko polskiej ludności wyewakuowanej z Rosji a zarazem największe skupisko polskich dzieci, bo jest ich tam około 6,000.

472 dzieci znajduje się w Afryce Południowej, gdzie je wysłano na zaproszenie tamtejszego Rządu i pomieszczono w Oudthoorn. Mam przed sobą świeżo otrzymaną statystykę ich stanu zdrowia, która jest wymownym przykładem jak naszym dzieciom posłużył pobyt w Rosji. Spośród tych dzieci jest chorych:

na anemię 104
na gruźlicę zaawansowaną 172
na gruźlicę w stanie początkowym 5
na malarię 178
razem chorych ... 459

A wszystkich jest czterysta siedemdziesiąt dwa.

O Krzysiu, czyżbyś ty była w Oudthoorn . . . Dlaczego nie spytałem o twoje nazwisko . . .

Od lutego b.r. zaczęły napływać partie uchodźców polskich do obu Rodezyj, Północnej i Południowej, obszarów doskonałych pod względem klimatycznym (w zimie bywa tam nawet szron), przypominających pod tym względem lato w podgórskich okolicach Polski, zwłaszcza jeśli idzie o Rodezję Południową, gdzie choroby tropikalne, a zwłaszcza malaria, należą do rzadkości. W tej chwili jest na obszarze obu Rodezyj około 2.500 uchodźców, w czym około połowa dzieci do lat 16-tu.

Warunki naszej ludności na tych obszarach są pomyślne, zwłaszcza pod względem mieszkaniowym (trwałe murowane domki). Podkreślić trzeba, że partie ludności, które przyjechały w te okolice, zabrały się do zorganizowania osiedli w tempie po prostu amerykańskim, wzbudzając duże uznanie wśród Anglików. Bo my to już jesteśmy tacy . . . Jak dużo roboty i niecodzienna, to ją robimy doskonale, zwłaszcza jeśli to jest w obcym środowisku, a jak przychodzi do codziennej pracy, której efektów doraźnie albo nie widać albo nikt nie chwali, to nas to zajmuje i przejmuje znacznie mniej.

Ale wracajmy do dzieci. Otóż z Rodezji Północnej i Południowej mam dane o osiedlach Marandellas, Rusape i Bwana Kubwa, Livingston i Digglefold.

W Marandellas jest sześcioklasowa szkoła powszechna obejmująca 142 dzieci i bardzo niezupełne gimnazjum, w którym uczy się tylko 19 dzieci. W Rusape 204 dzieci uczęszcza do sześciu klas powszechnych, a program pierwszej gimnazjalnej przerabia aż . . . 4 dzieci. W osiedlu Bwana Kubwa—w języku Swahili znaczy to "wielki pan," o czym zresztą wie każdy, kto czytał "W Pustyni i w puszczy" — jest pięcioklasowa szkoła powszechna, obejmująca 275 dzieci.

W Lusaka jest 300 dzieci, rozmieszczonych w szkole powszechnej i w przedszkolu.

W Livingston 135 chłopców jest w gimnazjum i liceum, a w Digglefold powstało z początkiem lutego 1944 gimnazjum żeńskie dla 150 uczennic.

Ale największa ilość dzieci polskich jest w krainie, przez którą wędrowali mali bohaterowie Sienkiewicza, Staś i Nel, w Afryce wschodniej, o której pisałem w poprzednim moim artykule w "Polsce Walczącej."*


W szkole obozu nr. 1 pod Teheranem


Dożywianie się na własną rękę


Dzieci wracające ze szkoły w Masindi

Jest ich tam bowiem w tej chwili 3849.

Wszędzie, w sześciu istniejących tam osiedlach, są sześcioklasowe szkoły powszechne, w dwóch największych: Masindi i Tengeru, gimnazja (co prawda w Tengeru tylko dwie pierwsze klasy). Nie mówię już o sierocińcach i dziecięcych przedszkolach, które są wszędzie.

W największym osiedlu Masindi — blisko jeziora Alberta w Ugandzie — uczęszcza do szkoły powszechnej 1086 dzieci, do czteroklasowego gimnazjum 140, a do szkoły gospodarstwa wiejskiego 80 dziewcząt w wieku pozaszkolnym.

W drugim pod względem zaludnienia osiedlu, Tengeru — niedaleko góry Kilimandżaro w Tanganyice — szkoła powszechna obejmuje 1064 dzieci, pierwsza i druga gimnazjalna łącznie 100, a z zawodowej szkoły dokształcającej—obejmującej m.i. hafciarstwo i szycie—korzysta 137 osób w wieku od 17 do 40 lat.

W Koji — nad samym jeziorem Wiktoria — 446 dzieci jest w szkole powszechnej, a w gimnazjum 38. W trzech osiedlach Tanganyiki, poza Tengeru, znajduje się szkołach powszechnych: w Ifundzie 277 dzieci, w Kidugali 266, w Kondoa 175.

A teraz najmilsza wiadomość. Pisałem w felietonie o Afryce Wschodniej o absolutnym braku podręczników szkolnych. Otóż nareszcie podręczniki nadeszły i jest ich w tej chwili kilka tysięcy. Oczywiście jest to mało. To oznacza prawie 1 podręcznik na troje dzieci, ale równocześnie to postęp ogromny i różnica kolosalna, bo dawniej był 1 podręcznik na . . . nauczyciela. Natomiast z zeszytami i ołówkami ciągle jeszcze bieda.

Muszę jeszcze dodać, że we wszystkich krajach, w których są nasze dzieci, uczą się one obowiązkowo po angielsku. I robią doskonałe postępy. Nie będę zbyt daleki od prawdy, jeśli powiem, że polski chłopak czy dziewczynka n.p. w Afryce Wschodniej mówi lepiej po angielsku, niż przeciętny Polak w Anglii. Ba, dzieci zaczynają chwytać nawet tubylcze języki i to szybko.

Słyszałem w Masindi chłopaka rozmawiającego z murzynem w języku Swahili. Pyszna była mina wiejskiego wyrostka, przyjmującego z całą powagą używany tam w stosunku do białego szłowieka tytuł. . . . Panie Wielki (Bwana Kubwa). I mimo woli pomyślałem o sienkiewiczowskim Stasiu Tarkowskim. . . . Takich Stasiów będziemy mieli w Polsce mnóstwo. Oby jak najprędzej.

W ROSJI JEST CIĄGLE 100.000 NASZYCH DZIECI

. . . sed iam nox humida coelo
Praecipitat suadentque cadentia
sidera somnos . . .

Tak, noc zapada wilgotna, a gwiazdy sen rają. . . . Skończyłem właściwie to, co miałem pisać. O polskich dzieciach na szerokim świecie, które udało się zachować "od powietrza, głodu, ognia i wojny". . . .

Ale są jeszcze inne polskie dzieci. W najszerszym kraju na szerokim świecie. W kraju, którym rządzą przyjaciele naszych przyjaciół. W kraju, któremu zapomnieliśmy wszystkie nasze cierpienia i do którego wyciągnęliśmy przyjazną rękę. W Rosji.

W tym kraju pozostało zarejestrowanych przez nasze placówki 77.000 dzieci. . . . A spis jest tak niekompletny, brak danych z tylu okręgów, nie uwzględnione są w nim polskie dzieci w sowieckich "*jaslach,*" "*dziet-sadach*" i szkołach, że będąc bardzo ostrożnym i wstrzemięźliwym, można śmiało określić pełną ilość dzieci polskich pozostałych w Rosji na 100.000.

Pomyślcie: co najmniej sto tysięcy par dziecięcych oczu, które są pełne tęsknoty i smutku. Sto tysięcy par Krzysinych oczu. Pełnych bezsilnej żałości. Pełnych nieufności i bojaźni.

Tak, nieufności i bojaźni. Podam dwa przykłady, za których prawdziwość ręczę. Podam krótko.

Oto pierwszy. Dwie dziewczynki, które przyjechały z Rosji do Anglii, błąkają się wśród londyńskiej mgły zimowej. I boją się zapytać o drogę policjanta. Po prostu boją się, bo to policjant. . . .

Oto drugi. Chłopak, też przybyły z Rosji do Londynu, jedzie nie przepisowo rowerem. Angielski policjant zatrzymuje go. Pierwsza reakcja chłopca to paniczna ucieczka. Wpada do pierwszej otwartej bramy. Przechodzi przypadkowo Polak. Idzie za chłopcem, rozmawia z nim i tłumaczy policjantowi, że chłopak przyjechał z Rosji i ma po prostu kompleks obawy przed policją. Poczciwy angielski Bobby, obrońca słabych, uśmiecha się życzliwie i powiada: "*All right*. niech mu, Pan tylko wytłumaczy, że trzeba jeździć tak i tak". A reakcja chłopca: zdumienie, niedowierzanie a wreszcie prośba:—"Niech mu pan powie, że ja już teraz zawsze będę stał za Anglią. Jeśli tu policjanci tacy, to co to musi być za cudowny kraj, proszę pana."

Osobiście nie dziwię się chłopakowi. Gdy raz, idąc razem z moim przyjacielem, usłyszeliśmy za sobą gwizdek sowieckiego milicjanta w Kujbyszewie, bo nieprawidłowo przeszliśmy jezdnię — skoczyliśmy na chodnik, jak oparzeni i pot nas obu oblał. Ze strachu, przyznaję się. Bo nuż człowieka poproszą na chwileczkę na milicję. Tak sobie, dla wyjaśnienia. I diabli wiedzą, o co jeszcze mogą pytać. A ty bracie—jak się to teraz mówi w Sowietach—udowodnij, żeś ty nie wielbłąd. . . . Nie, nie dziwię się chłopakowi.

Tak, sto tysięcy par dziecięcych oczu patrzy na cały świat cywilizowany. W tych oczach jest zew krwi rodzinnej, tęsknota za swoimi, jest żałość, że niedostępna jest im radość tych dzieci, które żyją w Persji, Indiach czy Afryce swoim własnym polskim życiem. A one zapominają mówić po polsku . . .

I w oczach tych opuszczonych, pozostawionych w Rosji, biednych polskich dzieci przebija się jedna, wielka, dziecięca prośba: "Oddajcie nas narodowi naszemu, matkom naszym, ojcom i braciom naszym". Czyż są na świecie serca tak twarde, których by ta prośba nie wzruszyła ? Prośba dziecięcych żałosnych ocząt. Tych ocząt piękniejszych i czystszych, niż niebo samo.

ADAM SKĄPSKI

* Por. "Na tułaczych szlakach: Polacy w Afryce Wschodniej," druk. w nr. 27 "Polski Walczącej" z ub.r.

Polska — żywymi oczami

Wobec wydarzeń wojennych*



W czasie sukcesów na froncie wschodnim, Niemcy wywieszali w miastach polskich olbrzymie afisze — mapy, pokazujące ich zdobycze terytorialne. W ciągu jednej nocy Polacy domalowali na wszystkich afiszach: "1812 r." — słusznie przepowiadając Niemcom los, jaki spotkał przedsięwzięcie Napoleona

Niespotykana siła woli, żelazna wytrwałość i opanowanie ludności polskiej pod okupacją niemiecką odbija jaskrawo od histerycznych reakcji niemieckich, wahających się bezustannie między panicznym strachem, a bezgraniczną pychą. Postawa Polaków nie zmieniła się w swych zasadniczych zrębach od chwili wybuchu wojny do dziś, gdy coraz szybszym krokiem zbliża się dzień wyzwolenia. Wszyscy zawsze nie tylko wierzyli, ale wiedzieli z całą pewnością, że my tę wojnę wygramy, najgorszy zaś i najcięższy okres, który nas dzieli od zwycięstwa, musimy przetrwać. Na każde zbiorowe nieszczęście narodowe, jedna tylko była odpowiedź: "nie dadzą nam rady."

W tym stanowisku niezachwianej ufności i pewności niejedno oparte było na złudzeniu, złudzenia te jednak były błogosławieństwem wobec niezmiernie trudnej sytuacji w codziennej walce z okupantem. Nawet najstraszliwsze dni upadku Francji nie wywołały w Polsce tego załamania, tej rozpaczy jaka była udziałem Polaków poza granicami Kraju. U źródeł tej ufności była, ugruntowana w społeczeństwie od dawna, wiara w potęgę Anglii. "Anglia nigdy nie przegrała wojny" — była to dewiza, przechodząca w tym okresie z ust do ust. Nie wiedziano na szczęście /oczywiście w szerokich sferach społeczeństwa, nie zaś w podziemnych kołach politycznych/ jak wyglądało wówczas przygotowanie wojenne Wielkiej Brytanii, gdy zaś informacje te dotarły z dużym opóźnieniem do opinii ogółu, były już nieaktualne i budziły tylko dreszcz sensacji, a nie realny niepokój.

Rzecz jasna, nieoczekiwana tragedia narodu francuskiego wywarła silne wrażenie i stała się tematem rozważań i komentarzy na długie miesiące. Zarzucano Francuzom zmaterializowanie, skłócenie wewnętrzne, brak wytrwałości. Próbowano usprawiedliwić załamanie wyczerpaniem po wysiłkach poprzedniej wojny. Nakładem ruchu podziemnego ukazały się tłumaczenia książek Maritain'a i Maurois o przyczynach katastrofy Francji, ale nie mogły one znaleźć pełnego zrozumienia u narodu o tyle słabszego i uboższego, a zdecydowanego na opór za wszelką cenę. Odrazę budziło ustanowienie rządu w Vichy, tym bardziej, że Niemcy uważali postępowanie marszałka Pétain'a za doskonały atut propagandowy i wysławiali go bezustannie jako wzór rozumnego patrioty i realistycznego polityka.

Propagandzie niemieckiej zasadniczo nie daje się wiary. Gdy fakty podawane przez gadzinówki i "szczekaczki" radiowe nie dają się zaprzeczyć, przyjmuje się w każdym razie, że są one niezmiernie przesadzone. Stąd traktowano z powątpiewaniem nawet wiadomości o bombardowaniu Londynu. Propaganda goebbelsowska zachłystywała się twierdzeniami, że w stolicy Wielkiej Brytanii zupełnie zamarło życie, że "kamień na kamieniu" nie został, a Anglicy straciwszy Imperium i znaczenie w świecie, będą szczęśliwi, jeśli pozwoli się im po wojnie zostać na wyspie. Oczywiście przy tak już wyśrubowanej propagandzie ciągły triumfalny ryk: "*Wir fahren gegen England*" był przyjmowany wzruszeniem ramion.

Zatruwanie społeczeństwa polskiego wrogą propagandą nie daje żadnych wyników mimo ogromnego wysiłku wkładanego przez okupanta w tę akcję. Każdy Niemiec i Niemka, żyjący w Polsce, ma obowiązek bezustannej agitacji, podważania pojęć i poglądów polskich, osłabianie zaufania do Aliantów. Najmniejszy tylko objaw pominięcia małych państw w grze politycznej jest natychmiast podchwycony i zagrany propagandowo. Tytuł afisza: "Anglio, to twoje dzieło" — może być uważany za hasło całej szeroko zakrojonej akcji propagandowej Rzeszy.

Zdawać by się mogło, że w kraju zupełnie odciętym od świata alianckiego /stałe zresztą i regularne kontakty polityczne nie docierają naturalnie do szerokich sfer społeczeństwa/ — mogłaby wytworzyć się atmosfera, sprzyjająca szerzeniu się propagandy okupanta, robiącego tak znaczne wysiłki w tym kierunku. Nic podobnego. Polska jest znakomicie i szybko informowana o wszystkich wydarzeniach, zna nie tylko fakty, ale oświetlenia i komentarze, posiada własną prawdę polityczną.

Zakazy w sprawie radia są bezwzględne, za słuchanie grozi kara śmierci. Trudno ukryć odbiornik ze względu na wszechobecnych niemieckich sąsiadów. W pierwszych latach wojny można było cichcem korzystać z radia w czasie nieobecności niemieckich "lokatorów." Niemcy jednak zorientowali się, wydali bardzo ostre zarządzenia, obciążając odpowiedzialnością właścicieli aparatów i jak zwykle tam, gdzie mają do czynienia z Niemcami, nie Polakami — wygrali. Wiecznie zastraszeni *Reichs-* i *Volksdeutsche* wymienili lampowe odbiorniki na aparty miejscowe, lub pozamykali niebezpieczne skrzynki do szaf i zniknęła ostatnia możliwość łączności ze światem.

A jednak . . . w godzinę po przemówieniu Churchilla ludzie powtarzali sobie tekst, poprawiając z pobożną pedanterią każde opuszczenie. Nadal zajadle dyskutowano ilość zdobytych na wschodnim froncie czołgów i dział. Wystarczyły nieliczne przemyślnie ukryte aparaty i komunikaty ośrodków politycznych, a błogosławiona "szeptana propaganda" roznosiła wiadomości do najdalszych zakątków.

Jakimż przyjacielem i pocieszycielem stał się tak lekceważony przed wojną Komunikat Radiowy! Metaliczne pukanie sygnału londyńskiego przyśpiesza rytm serc. Słowa padające z głośnika w ciszy i ciemności nocy, są bratnim wezwaniem, zapewnieniem, że nie jesteśmy sami, że wrócą do nas ci, za którymi tęsknimy, że radzą o naszych sprawach i są częścią naszego wysiłku.

Dzień, który upłynie bez słyszenia, choćby z dziesiątych ust "naszego" komunikatu wydaje się pusty i niepokojący, a trochę łudzący nadzieją: "może właśnie dziś . . ." Opowiadanie sobie wiadomości radiowych jest ośrodkiem każdego zebrania towarzyskiego, często nawet jego celem. Ludzie zamęczają się pytaniem "co dziś w radio," tak że nawet utarł się dowcip: "nie mam dziś czasu, sam sobie wymyśl." Rzeczywiście pole do fantazjowania nieraz duże; w atmosferze ciągłego napięcia uczuciowego łatwo się wierzy w najbardziej fantastyczne, aby tylko pomyślne wiadomości.

W przygniatających warunkach bytowania pod okupacją trochę złudzeń ułatwia zachowanie spokoju i umożliwia przetrwanie. Gdybyśmy na początku wiedzieli, że trzeba będzie wejść w piąty rok wojny, mogło by było nastąpić ciężkie załamanie psychiczne. Społeczeństwo jednak każdej zimy nabierało oddechu — "aby do wiosny." Gdy zima nie mogła ziścić pokładanych w niej nadziei, wspominało, się znowu, że "wszystkie wojny kończą się późną jesienią." Oczywiście każdą zimę witano zawsze z rozpaczą, do całej biedy przyłączał się jeszcze zaciekły wróg nędzarzy — mróz. Pocieszaliśmy się, niezbyt może szlachetnie, że jeśli nam zimno, to "im" na froncie wschodnim musi być zimniej.

Wspominając o dużym opanowaniu i równowadze społeczeństwa, miałam na myśli szczególnie stosunek ogółu do spraw zasadniczych. Tymi niezaprzeczalnymi i niezmiennymi elementami są przez cały czas wojny: niezłomność i konsekwentny opór wobec okupanta, pewność wygranej, wiara w dobrą w stosunku do nas wolę Sprzymierzonych, zadowolenie, a nawet duma z posiadania legalnych, demokratycznych władz i armii na emigracji. Te nie podlegające dyskusji pojęcia zapewniają stałość i równowagę opinii publicznej. Nie mniej jednak społeczeństwo podlega wstrząsom radosnym, czy bolesnym, reagując na wieści z zewnątrz. Reakcje te są nieraz silniejsze, niż by należało się spodziewać, warunki bowiem sprzyjają przesadzie i wyolbrzymianiu faktów.

Nieoczekiwany przewrót w Jugosławii wiosną 1941 roku wywołał wielką falę nadziei. Ogół czekał na "coś na Bałkanach." Szeptano "początek końca." Rozdrażnienie Niemców, cała masa drobnych szykan, którymi pokrywali swój niepokój i irytację utwierdzało ludzi w złudnych nadziejach na wiosnę ludów. Zatopienie "Bismarcka" natychmiast po klęsce "Hooda" —zrobiło niezwykle silne wrażenie.—"Anglia jeśli chce—mówiono—może bardzo wiele, należy tylko czekać na odpowiedni moment."

Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej wywołał powszechny entuzjazm. Jedyny to raz widziałam tłumy Polaków oblegających megafony. Rozradowanymi twarzami odbijali jaskrawo od skupionych i niepewnych oczu niemieckich.

Pierwsze piorunujące sukcesy niemieckie w Rosji nie wywołały przygnębienia. Słusznie oczekiwano, że niezmierzone przestrzenie, śniegi i mrozy są wrogiem znacznie groźniejszym, niż Niemcy przypuszczają. Mimo to nie lekko było żyć w atmosferze bezustannej radości Niemców, codziennych niemal wydań nadzwyczajnych. W głównych punktach miasta stały olbrzymie mapy plastyczne, na których codziennie przesuwano chorągiewki, osaczające codzień groźniej Leningrad, nawet Moskwę.

Następna zima przyniosła cięższy cios—upadek Singapore. Nie umiano sobie tego wytłumaczyć. Zachwiała się wpojona jeszcze w dzieciństwie wiara w potęgę kilku głównych twierdz świata, zaczęto się obawiać o los Malty i Gibraltaru. Wtedy jedyny raz zjawiły się refleksje, czy w ogóle pojęcie twierdzy nie do zdobycia może się ostać w świecie nowych zdobyczy technicznych.

Pierwsze promienie wiosny przynosiły zawsze ulgę. Każda wiosna była "nadzieją brzemienna." W maju 1941 przybyli Amerykanie do Anglii, "przecież nie na to, żeby tam siedzieć przez zimę." I najpiękniejsza wiosna ostatnia, po Stalingradzie—oczyszczona z ostatniego wroga Afryka, Niemcy rozbici, Niemcy w żałobie, Niemcy w tragicznej ucieczce. Cóż za spełnienie marzeń dla narodu, któremu dotąd rzadko zdarzało się widzieć swych śmiertelnych wrogów inaczej, jak pysznych, butnych i szyderczo roześmianych.

Znany już nam był i przedtem śmiertelny strach w ich oczach przed kulą polskiego bojowca, widzieliśmy fale uchodźcze z Lubeki, Bremy, Hamburga, Berlina, ale dopiero tej wiosny można było wyczuć u okupanta strach przed przyszłością, lękliwe próby asekuracji na przyszłość, odtrącane przez nas z pogardą, drobne awanse lub mściwą bezprzytomną pogróżkę: "może zginiemy, lecz wy z nami."

Nie dotarła do opinii polskiej propaganda zwycięskich Niemiec, ani w najbardziej różowych barwach kreślona "*Neu-Europa.*" Tym bardziej nie zdoła na nią wpłynąć nowa próba wywijania straszakiem zwycięskiej "żydo-plutokracji" w sojuszu z bolszewikami. Z fabrykatami "*Propagandaamtu*" nie było nawet w opinii polskiej dyskusji. Odepchnięto najbardziej stanowczo próby zastraszenia czy zjednania, z obrzydzeniem odwrócono się od krokodylich łez w sprawie Katynia.

Opinia polska żyje własną mocno ugruntowaną prawdą, a łzy niemieckie pragniemy zobaczyć dopiero w dniu ich rozpaczy i upokorzenia.

MARIA BRZESKA

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru." druk. w nr. 6 i "Życie ulicy," druk. w nr. 7 "Polski Walczącej" z b.r.

Poszukiwani

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do biura Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

WYKAZ Nr. 36
CIĄG DALSZY

33. **Dziejewski** Romuald por. — poszukiwany przez żonę Helenę i córkę Zofię zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
34. **Dziurzyński** Stanisław plut. — poszukiwany przez żonę Marię, córki Jadwigę i Ewę oraz syna Władysława zam. w Z.S.R.R. /3800/71/.
35. **Dorosz** Stanisław Marian ur. 11.5.1911 r. w Rajtarowicach, syn Mariana i Amalii — poszukiwany przez żonę Zofię. Tengeru, Arusha Tanganyka /6639/.
36. **Engliszer** Aleksander ppor. był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Reginę zam. w Z.S.R.R. /R/14/.
37. **Frydel** Tomasz plut. — poszukiwany przez żonę Marię i córkę Irenę zam. w Z.S.R.R. /R/14/.
38. **Galanty** Bazyli plut. — poszukiwany przez żonę Katarzynę i córkę Janinę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
39. **Gers** Józef kpr. — poszukiwany przez żonę Helenę i dzieci Zygmunta, Stanisławę zam. w Z.S.R.R. /3800/81/
40. **Gier** Jan kpr. — poszukiwany przez żonę Janinę i córkę Alicję zam w Z.S.R.R. /3800/80/.
Gil Stanisław plut. vide poz. 63 /Klimkowa Józefa/.
41. **Gierusz** Ludwik kpr. — poszukiwany przez żonę Marię i córkę Ludwikę zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
42. **Gbur** Marię z dziećmi — poszukuje Teodor Gbur /Anglia/ /5555/.
43. **Gromnicką** z domu Teichman Olgę i Gromnicką z domu Klimczówną Teodozję — poszukuje Gromnicki Zygmunt /Anglia/ /5555/.
44. **Gunia** Józef ur. 1922 r. we wsi Wierzany — poszukują rodzice — Józefa i Andrzej, zam. w m. Krasnouralsk, Swierdłowska obłaść Z.S.R.R. /6204/.
45. **Goling** Rudolf por. — poszukiwany przez żonę Stefanię i dzieci Danutę i Jana-Józefa zam. w Z.S.R.R. /R/12/.
46. **Gulanowski** Marian kpr. — poszukiwany przez matkę Adelę zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
47. **Hałuszczak** Franciszek pdchr. — poszukiwany przez matkę Aleksandrę zam. w Z.S.R.R. /3800/73/.
48. **Hawrot** Marian szer. — poszukiwany przez żonę Stanisławę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
49. **Heskaluk** Bronisław chor. — poszukiwany przez żonę Antoninę i dzieci — Leszek i Bogumiła zam. w Z.S.R.R. 3800/81/.
50. **Hercog** Władysław plut. — poszukiwany przez żonę Annę i dzieci — Janinę, Karolinę i Felicję zam. w Z.S.R.R. /3800/78/.
51. **Ihnatowicza** Mariana kpl. 15 D.A.P.L. Katowice, ur. 1893 r. — poszukuje żona Julia, Alger /5555/.
52. **Iglikowski** Andrzeja i Zbigniewa — poszukuje Kukula Kazimierz /Anglia/ /5555/.
53. **Jankowski** Marian kpr. — poszukiwany przez żonę Bronisławę rodziców Franciszka i Marię oraz siostry Wiktorię i Irenę zam. w Z.S.R.R. /3800/72/.
54. **Jaworski** Jan oficer — poszukiwany przez żonę Jadwigę i dzieci Irenę i Zygmunta zam. w Z.S.R.R. /R/119/.
55. **Jodłowski** Karol — poszukiwany przez matkę Julię i rodzeństwo Józefę, Antoninę, Marię i Bronisławę zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.
56. **Jelita** — Pacanowski Zbyszko Stanisława ur. 1907 r., syn Lecha i Kazimiery, Smer woj. Poznańskie — poszukuje żona Stefania /6617/.
57. **Kajko** Józef wojskowy — poszukiwany przez żonę Aleksandrę i pasierbicę Elwirę zam. w Z.S.R.R. /3800/72/.
58. **Kalinowski** Aleksander ppor. — poszukiwany przez ojca Jana zam. Z.S.R.R. /3800/68/.
59. **Kasprzycki** Antoni por. — poszukiwany przez żonę Janinę, teścia Tkaczyk Michała i siostrę Tkaczyk Michalinę zam. Z.S.R.R. /3800/67/.
60. **Karwat** Wiktor ur. w 1924 r. — poszukuje ojciec Stanisław Polish Forces, Paiforce 208 /6643/.
61. **Klewiado** Michał ur. 27.2.1905 r. Szyłaki, pow. Święciany — poszukuje żona Maria zam. /6617/.
62. **Klarzuk** Stefan pdchr. — poszukiwany przez matkę Helenę i siostrę Jadwigę zam. w S.Z.R.R. /3800/68/.
63. **Klimkowa** Józefa ur. 1889 r., zam. w Z.S.R.R. poszukuje syna Gił Stanisława plut. /3800/80/.
64. **Kiełbasa** Józef ur. 1902 r. — poszukuje żona Helena. Teheran, Delegatura M.O.S. /6647/.
65. **Kaczmar** Bolesław — poszukuje ojciec Marek, Polish Forces, Paiforce 525 /6649/.
66. **Kondratowicz** Witold ur. 1920 r. — poszukuje brat Stanisław. Polish Forces M.E. 102 /6646/.
67. **Kulesza** Józef kpt. Br.Panc. Niepołomice ur. 1903 r. — poszukuje żona Janina /P.S.K. Anglia/.
68. **Kukula** Józefę, Cecylię, Halinę i Danutę — poszukuje Kukula Kazimierz /Anglia/ /5555/.
69. **Kuczewskiego** Franciszka z rodziną —poszukuje Józef Kuczewski /Anglia/ /5555/.
70. **Klimuk** Teodor kpr. — poszukiwany przez żonę Genowefę i dzieci Helena, Ryszard, Irena i Edward zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
71. **Kocik** Jan plut. — poszukiwany przez matkę Agnieszkę i rodzeństwo — Pelagię, Bronisława i Edwarda zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
72. **Kowalczuk** Michał szer. — poszukiwany przez ojca Michała, matkę Rozalię i rodzinę — Stefana, Wasyla, Józefa, Zofię, Anastazję, Emilię, Mikołaja i Julię zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.
73. **Kozak** Marcin szer. — poszukiwany przez żonę Wandę i syna Adama zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
74. **Kozłowski** Edward kpr. podchr. — poszukiwany przez żonę Pelagię, ojca Aleksandra i córkę Annę zam. w Z.S.R.R. /3800/72/.
75. **Krateil** Jan-Bolesław por. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i córkę zam. Z.S.R.R. /R/63/.
76. **Krupnik** Stanisław kpr. — poszukiwany przez żonę Karolinę i córkę Annę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
77. **Krzeczkowski** Jan ppor. — poszukiwany przez ojca Jakuba, matkę Marię i rodzeństwo ą Helenę Stefanię, Mikołaja i Piotra oraz krewną Joannę zam. w Z.S.R.R. /3800/75/.
78. **Kubałek** Kazimierz por. — poszukiwany przez żonę Eugenię i córkę Krystynę zam w Z.S.R.R. /3800/69/.
79. **Kubaszewski** Stanisław kpr. — poszukiwany przez żonę Zofię i syna Wiktora zam. w Z.S.R.R. /3800—68/.
80. **Kupfer** Abraham — poszukiwany przez żonę Julię, córkę Rut i syna Feliksa zam. w Z.S.R.R. /R/72/.
81. **Kuszpit** Aleksander kpr. — poszukiwany przez matkę Michalinę i siostrę zam. w Z.S.R.R. /R/62/.
82. **Kuta** Kazimierz mjr. — poszukiwany przez matkę Anielę i rodzinę Franciszka i Janinę zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
83. **Land** Ryszard ppor. — poszukiwany przez rodziców Józefa i Janinę oraz rodzeństwo — Jadwigę, Walentynę i Krystynę zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.
84. **Langsam** Artur plut. — poszukiwany przez matkę Salomeę, Iran, Teheran, II Obóz Cywilny, szałas 45 /ma list/ /6559/.

Noc z Klarą na Atlantyku

Gdzie, skąd i kiedy dostała się Klara na statek — nie wiadomo. Razem z nią przyszedł i Tomasz, i teraz, gdziekolwiek się ruszyć na pokładzie, wszędzie można ich spotkać. Wałęsają się z dziobu na rufę, zaglądają do salonu, na mostek i do kabin, a najczęściej spotkać ich można w kuchni, gdzie z kucharzem prowadzą jakieś prowiantowe konszachty. Szczególnie Klara, która swym żeńskim sprytem czy umizganiem, zawsze zdobywa najwięcej.

Elegancka, wymyta, paraduje przed każdym, kto tylko na nią spojrzy. Usiądzie na kolanach, i mrużąc zielonawe oczy, przytula się i łasi, a często zasypia, ułożywszy się przedtem wygodnie. Jeżeli Klara wejdzie do kabiny — Tomasz na pewno za chwilę zjawi się również. Gdy ona dla rozrywki czy przez złośliwość wejdzie po linie do połowy masztu — on zaraz drapie się za nią. I tak wszędzie; są nierozłączni.

Jednej nocy, w czasie ostatniej podróży przez Atlantyk, około godziny 10-ej wieczorem, leżałem na kanapie w radiostacji, czekając na odbiór telegramów. Światła były pogaszone i tylko nad odbiornikiem paliła się mała żaróweczka, tak, by poprzez zasłonę w drzwiach prowadzących na korytarz i pokład nie padało światło. Statek rzucał się na fali, uderzając co chwila dziobem, to znów kładł się głębokimi przechyłami na burtę — musiałem więc uważać, by nie spaść z kanapy.

Nie mając na co patrzeć, przyglądałem się zasłonie, jak zgodnie z ruchami statku odsłaniała, to znów przysłaniała wejście. Gdyby zapomnieć o kołysaniu, można by sądzić, że to jakaś niewidzialna ręka uchyla zasłony, by wpuścić niewidzialną osobę — tak jak to się dzieje na niektórych filmach.

Tylko że było zupełnie niemożliwe zapomnieć, bo statek idąc pełną szybkością, rozpędem wjeżdżał na szczyt fali, zatrzymywał się chwileczkę na wierzchołku, a potem pędził, walił się w dół na spotkanie następnej, i wbijając się w nią dziobem, drgał cały od uderzenia, trząsł się każdym wiązaniem i wręgą. Wiatr świszczał i wył w wantach i sztagach, a z pokładu słychać było szum przelewającej się wody, która za każdym uderzeniem fali dostawała się na pokład. W ogóle — wredna, sztormowa noc.

Leżąc tak i myśląc o wszystkim i niczym, a przede wszystkim o tym, by nie spaść, zobaczyłem, jak z przechyłem statku odchyliła się zasłona i do radiostacji, pocichu, bez szmeru weszła Klara. Jak dostała się tutaj przez stale zalewany pokład — nie wiem; ale była mokra. Światło ją trochę oślepiło, stała przez chwilę niezdecydowana, a potem bez ceremonii położyła się na kanapie obok mnie.

Była to miła niespodzianka, bo o ile przedtem często mnie odwiedzała, to zawsze w dzień i przy dobrej pogodzie, i zawsze z Tomaszem. A że na radiostacji miałem służbę do rana, ucieszyłem się z tego niespodziewanego towarzystwa.

Widząc, że nie mam nic przeciwko jej obecności, Klara przysunęła się bliżej, ułożyła głowę na moim ramieniu, patrząc we mnie zielonymi, świecącymi oczyma. Chciałem się z nią pobawić, wyciągnąłem rękę, lecz w tej chwili odezwał mi się nad uchem gwizdek — to z mostku wołano mnie przez tubę, bym przyszedł sygnalizować do innego statku.

Cóż było robić? Odsunąłem delikatnie Klarę — z wyrzutem na mnie spojrzała — i poszedłem na mostek. Po drodze zimny bryzg oblał mi twarz, część wlała się za kołnierz, a na wargach poczułem słony smak. Wpadając na mostek, zderzyłem się jeszcze w ciemnościach z oficerem służbowym i zaklęliśmy obaj brzydko a głośno.

Wiał zachodni sztormowy wiatr, i gdy tylko wysunęło się nos zza ochrony, wiatr uderzał w twarz, wciskał się w oczy, nos i usta, dławiąc w gardle każde słowo, wyciskając łzy ze zmrużonych oczu. Wokół ciemna noc; jak gdyby czarna ściana wyrastała przed oczami, tak, że na odległość kilku cali nie widziało się nic, absolutnie nic. Statek pracował ciężko na fali, zakopując się w te olbrzymie góry wodne, które wyrastały przed dziobem, to znów biorąc wodę całą burtą przy głębokich przechyłach. Nie widziało się tego, czuło się tylko drganie kadłuba przy każdym uderzeniu, oraz szum wody na pokładzie, a poza tym bryzgi przelatywały nad mostkiem, zalewając słoną pianą każdą szparę i kącik.

Gdzieś po obu stronach, z dziobu, z rufy, znajdował się konwój, lecz żadne oko nie przejrzałoby tego muru ciemności. Jeden tylko statek, mając widocznie coś ważnego do powiedzenia, mrugał do nas ściemnionym zielonawym światełkiem. Rozstawiłem szeroko nogi i objąwszy miłośnie podstawę karabinu maszynowego, aby przy przechyle nie upaść, zgłosiłem się do niego i zaczęliśmy "rozmawiać." Sygnalizowałem może pół godziny, zmarzłem, jeszcze kilka bryzgów przeleciało mi nad głową, zostawiając za każdym razem wystarczającą ilość wody, by z czapki i kołnierza spływała po karku wzdłuż grzbietu, a potem zeszedłem na dół.

Uciekając przed wiatrem i falą, wpadłem z trzaskiem do radiostacji i obudziłem tym Klarę. Spojrzała na mnie leniwie spod półotwartych oczu, przeciągnęła się lubieżnie, poczem zmieniwszy pozycję, ułożyła się jeszcze wygodniej i zamknęła oczy. Położyłem się przy niej, starając się zajmować jak najmniej miejsca, a ona, czując mnie obok, przysunęła się i jak przedtem, położyła głowę na moim ramieniu, lecz widząc, że jestem mokry, odsunęła się na poduszkę.

Zamknęła oczy, i już za chwilę oddychała miarowo — spała. Było mi trochę niewygodnie, ciasno, lecz nie chciałem się ruszać, by jej nie budzić. Pozostałem więc w tej pozycji, i by czas prędzej płynął, pozwoliłem myślom biegać po różnych tematach.

W ciężkim sztormie, gdy statek silnie kołysze, fala bije w burty, a wiatr wyje na pokładzie, gdy się siedzi w ciepłej kabinie, myśli dziwnie bezładnie zjawiają się, mieszają, i znikają. Nie wiadomo gdzie i kiedy — tak jak przyszły.

O czym ja nie myślałem tej nocy . . . O pierwszych sztormach na Morzu Bałtyckim, gdy rozpoczynałem dopiero karierę morską: kiedy każde parodniowe kołysanie statku oznaczało parodniowe męki choroby morskiej. Później podróże na Morze Śródziemne, do Palestyny, Turcji, Algeru i Egiptu, gdzie w kabaretach młode i stare, piękne i brzydkie Arabki śpiewały nam cały wieczór tę samą melodię, ten sam taniec tańcząc całą noc. Później środkowo-zachodnie porty Afryki, gdzie statek kotwiczył gdzieś na rzece na skraju dżungli, ładunek brało się z małych łódek murzyńskich, a w wolne dni z karabinem, na motorówce płynęło się w odnogi rzeki, by szukać myśliwskiego szczęścia i wmawiać w siebie, że jest się nowoczesnym "*explorerem*." Przywieźliśmy stamtąd do Gdyni wiele pamiątek, opaloną na bronz skórę i dożywotni wstręt do moskitów.

A te paromiesięczne podróże do Ameryki Południowej, Brazylii, Urugwaju i Argentyny, gdzie zakochaną w hiszpańskich kobietach załogę, siłą trzeba było sprowadzać na statek; nie chcieli odjeżdżać! Bo też piękne to były kobiety . . .

Myśli, z tak miłego tematu, niekontrolowane, przeskoczyły na wojnę. Mobilizacja na parę dni przed wybuchem, później pierwsze naloty niemieckie na Rzeszów, gdzie stałem ze swoją jednostką. Pierwsi zabici i ranni, których widok tak mną wstrząsnął, a miał mi towarzyszyć przez cały czas . . . A później rany, niewola bolszewicka i niemiecka, ucieczki, obozy, i znów wojsko we Francji . . . A potem jeszcze jeden odwrót, by wreszcie po roku nieobecności wrócić na swój statek w Anglii.

Doprawdy, gdy podjeżdżałem wówczas motorówką pod burtę statku, nie wiedziałem, czy się śmiać czy płakać . . . Zacząłem więc głośno wołać, kogo — sam nie wiem. A potem, gdy wypłynęliśmy w morze i po paru dniach zatonęły dwa storpedowane statki, bałem się jak nigdy. Może nie tyle o swoje życie, ale żal mi było statku, który był mi domem i tyle miał dla mnie miłych wspomnień.

A potem przyzwyczaiłem się, nie wiem kiedy . . . Czas robi swoje. Tak też i ja, gdy później w silnym sztormie tonął torpedowany statek, gdy nie można było nic zrobić, by wyratować załogę, mówiłem sobie, że są to konieczności wojny. A gdy śliczny, nowy, o idealnej linii z opływowym dziobem statek, rozerwany wybuchem miny zanurzał się szybko w falach — żal mi było tylko jego krótkiego życia na morzach, żal było siły w nim zawartej, która mogła go prowadzić od lodów północy do mórz południa. I klałem wszystkich, którzy tę wojnę wszczęli.

* * *

W aparacie radiowym odezwał się sygnał, jeden, drugi, przerywając tok myśli. Chwyciłem więc za ołówek i zacząłem odbierać całe ostrzeżenie o okrętach podwodnych, które spostrzeżono w pozycji i kilkadziesiąt mil na naszym kursie. Pewnie zaraz zmienimy kurs — pomyślałem — i zacząłem uspakajać Klarę, która obudzona moim nagłym zerwaniem się, kręciła się niezadowolona na kanapce.

Lecz w tej chwili odezwał się znowu aparat. Ostro, urywanymi, krótkimi znakami, nerwowo nadawanymi gdzieś daleko czyjąś ręką podawał: "Statek ugodzony torpedą, kładzie się na burtę, toniemy . . ." Parę razy jeszcze nadał pozycję, potem chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w połowie słowa stacja ucichła. Widocznie albo woda zalała mu już dynamo, lub operator wybiegł z radiostacji i próbuje się ratować.

Ratować się . . . ? — Przecież przy tej pogodzie żadna siła im nie dopomoże. Szalupy roztrzaska fala, zanim jeszcze będą mogli je spuścić. Nie ma dla nich żadnego ratunku, zginą, nie pozostanie po nich żadnego śladu, prócz wspomnień . . .

Jest coś nienormalnego w tej sytuacji, że ja, siedząc w ciepłej radiostacji, wiem i zdaję sobie dokładnie sprawę, że w tej chwili, o jakie sto mil od nas tonie statek a z nim ginie jego załoga, a ja — my — nie możemy im nic pomóc. NIC!

* * *

Spojrzałem na Klarę. Spała, ruszając się lekko za każdym przechyłem statku. Pomyślałem, co też się z nią stanie, jeżeli nas kiedy trafi torpeda; czy będzie czas myśleć o niej, czy też zmyta falą, podrzucana jakiś czas przez nią, utonie cicho i spokojnie . . . ?

Lecz ona nie miała tych zmartwień, i nawet nie drgnęła, gdy położyłem się na kanapie obok niej. Musiałem spać parę godzin, bo gdy się obudziłem, był już ranek, światło przezierało przez zasłonę w drzwiach, a na krześle obok aparatu siedział Tomasz i złym wzrokiem patrzał na mnie i leżącą przy mnie Klarę.

Wyszedłem na pokład. Statek jeszcze silnie kołysał, brał wodę na pokład, powierzchnia morza była pokryta pianą i wiatr ciągle jeszcze grał na wantach, lecz byliśmy już o jeden dzień bliżej Ameryki, a przed nami pozostało tylko cztery, może pięć takich nocy, jak ta ostatnia.

Może spędzę je z Klarą, kto wie . . . ?

* * *

P.S. Klara to nasz rudy kot, a Tomasz to jej przyjaciel.

STEFAN GAZEŁ

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE ZAMKNIĘCIA "WIADOMOŚCI POLSKICH"

Zamknięcie tygodnika "Wiadomości Polskie" poruszyło polską opinię publiczną, przynajmniej znaczną jej część. Po raz pierwszy bowiem od chwili przybycia naszego na gościnne Wyspy Brytyjskie zastosowano do nas metodę siły. Nigdy bodaj przedtem żadne pismo politycznych emigrantów na brytyjskim terenie nie spotkało się z podobnym zarządzeniem.

Opinia publiczna zaniepokoiła się tym faktem nie tylko ze względu na zniknięcie z powierzchni kulturalnego życia emigrantów-Polaków pisma o znacznych walorach literackich, pisma, które dzięki swojej "Skarbnicy" drukowanej na ostatniej stronie stwarzało ciągłość między literaturą starą i piękniejszą, i literaturą nową i uboższą. Opinia publiczna dojrzała w tym akcie groźną szczerbę rysującą się na zasadzie wolności i niezawisłości prasy.

Kiedy przed wojną w Polsce mnożyły się konfiskaty, kiedy białe plamy zdobiły wszystkie niezależne pisma, stawiano nam za przykład Wielką Brytanię mówiąc: Popatrzcie na nich — krytykują swego premiera, wyśmiewają ministrów, dyskutują najbardziej drażliwe sprawy obronne. Tam jest wolność słowa, tam jest wolność prasy, tam powinniście się uczyć zasad prawdziwej, szczerej demokracji. Dzisiaj zaś w tragicznym momencie, kiedy jedyne wolne słowo polskie drukowane ukazywać się może poza granicami Rzeczypospolitej, przychodzi cios od strony najmniej spodziewanej, najbardziej przecież przyjaznej — od strony brytyjskiej.

Szukamy usprawiedliwień tego kroku. Myślimy — wojna, zgoda pomiędzy Sojusznikami, potrzeba harmonii, obowiązek niedawania argumentów nieprzyjacielowi. To wszystko przecież bardzo istotne, bardzo zasadnicze — o nieprzestrzeganie tego oskarżono "Wiadomości Polskie." I podczas kiedy takie myśli przychodzą do głowy, przed oczyma stają kolejne numery pisma komunistycznego "*Daily Worker*" i jego ataki na rząd polski, na rząd sojuszniczy, pierwszy, jaki zawitał do Wielkiej Brytanii, w momencie, kiedy stała ona samotna, prawie bezbronna naprzeciwko niezmierzonej potęgi niemieckiej. Potem osławiona "Trybuna Polska," zmieniona dzisiaj na "Głos Polski" wychodzący w Londynie i szkalujący wszystko co polskie. Czy to jest harmonizowanie wspólnego wysiłku wojennego? Czy to jest zgoda? Czy tamte pisma mają większe prawo istnienia, aniżeli polski tygodnik, którego jedynym grzechem jest bronienie polskiego stanu posiadania, którego jedyną zbrodnią jest posiadanie innej opinii o potrzebie istnienia niepodległej Polski, aniżeli sowiecka "Prawda"?

Myśli gubią się w swojej drodze, której celem jest zawsze znalezienie usprawiedliwienia dla naszych gospodarzy. Szukając go, chcemy oszczędzić sobie tragicznych rozczarowań, smutnych refleksji. Cóż by nam bowiem pozostało, co pozostało by Krajowi, gdyby upadła wiara w cele wojny, gdyby upadła wiara w potrzebę wszelkich poświęceń?

Myśli biegną także wstecz, sięgają początku okresu niepodległości, wspominają pierwsze numery ówczesnych "Wiadomości Literackich," ich rozrost. "Wiadomości" były w Polsce nie tylko pismem tygodniowym skupiającym pod swymi skrzydłami ogromną część polskiego życia kulturalnego. Pismo to także stało się inicjatorem szeregu konkursów literackich, dając w ten sposób podnietę pisarzom młodym i niewyrobionym do próbowania sił. Prócz tego przyznawały one nagrody coroczne za najlepszą książkę bieżącego roku — otrzymali je Bąk, Wittlin, Wasiutyński i Czapska. Wszystkie prace wzbogadziły niewątpliwie literaturę narodową. Numery specjalne w rodzaju mickiewiczowskiego i conradowskiego miały na celu przypominanie jednym, uprzystępnianie drugim arcydzieł naszej literatury.

Gdy przyszedł moment wrześniowej katastrofy i zawaliło się wszystko, nikt nie myślał o prasie polskiej, nikt nie przypuszczał, że się odrodzi, zanim jeszcze Polska będzie wolna z powrotem. Odrodziła się w potędze nienotowanej dotąd w dziejach dziennikarstwa — potędze słowa drukowanego w podziemiach. Skala, na jaką się rozrosła, organizacja wydawnictw, ich ilość, kolportaż a przytem stosunkowo mała liczba pism wykrytych przez okupanta, to właśnie ta potęga dotąd niespotykana.

Na emigracji zaś wyrosła jedyna prasa wolna. Dzięki zbiegowi okoliczności, współodpowiedzialni za istnienie "Wiadomości Literackich" znaleźli się na obczyźnie. Rozumiejąc znaczenie polskiego słowa drukowanego przystąpili natychmiast do pracy. "Wiadomości Polskie" pojawiły się w Paryżu obok "Polski Walczącej" zainicjowanej o kilka miesięcy wcześniej w coëtquidańskim obozie.

We Francji "Wiadomości" wychodziły tylko jeden kwartał. Potem przeszły drugi kryzys, drugie załamanie się tego wszystkiego, w co przecież wierzyliśmy, co traktowaliśmy jako świętość drugiej ojczyzny. Poprzez upadek Francji, na statkach pod banderą polską płynących, przyjechało także do Anglii wolne polskie słowo. "Wiadomości Polskie" zmartwychwstały po raz drugi w Londynie. Przez swoje artykuły, przez swój poziom, przez pióra Nowakowskich, Zahorskich, Terleckich, Kuncewiczowych znowu poczęły na małą skalę spełniać swą rolę. Prócz tego postawiły sobie za zasadę, by przekonać emigracyjnych czytelników do instytucji brytyjskich, podawać im co ciekawsze wyjątki z prasy, opisy instytucji, miast, zwyczajów, kultury i historii. Zyskały sobie wielką poczytność.

I nagle przyszła wiadomość o zamknięciu pisma. Potem po paru dniach treść interpelacji poselskiej w Izbie Gmin i szorstka odpowiedź brytyjskiego ministra informacji: nie mam zamiaru rozmawiać na temat możliwości cofnięcia zarządzenia o zamknięciu tego "szkodliwego tygodnika" . . .

Wierzymy, że krok ten był usprawiedliwiony, ponieważ wierzyć musimy. Tylko ta wiara bowiem utrzymać nas może jeszcze przy zdrowych zmysłach, przy wytrwaniu. Nie pojmujemy jednak niewspółmierności ogromnej w stawianych zarzutach i popełnionych winach. Nie pojmujemy odmiennego traktowania pism wrogich sprawie polskiej, pism szkalujących rząd prawowity polskiego sojusznika, komentarzy radiowych cytowanych skwapliwie przez Niemców. Nie pojmujemy zarzutu wykorzystywania artykułów "Wiadomości" przez nieprzyjaciela, skoro artykuły "*Timesa*" dostarczają najwięcej tych argumentów, skoro zasada wielkich mocarstw sama przez się jest wodą na młyn Niemiec hitlerowskich, skoro mowa Smutsa podchwycona była i powtarzana stokrotnie. Czy zatem i "*Times*" i Smuts działają na szkodę Narodów Sprzymierzonych?

Wolność prasy i wolność słowa były, są i będą pierwszymi warunkami prawdziwej demokracji. Korzystając z gościny kraju potężnego, kraju o wielkiej przyszłości i ogromnym *prestige'u* całego świata, nagle poczuliśmy się sami i opuszczeni. Przeciwko nam bowiem zrobiono w tych zasadach wyłom. Naszym kosztem nakarmiono niemieckich propagandzistów, dano im w rekę ogromny atut nietolerancji politycznej Anglii. Nie mamy gdzie się obrócić, brak nam zaplecza. W Kraju nadal wychodzą setki pism pod ziemią . . .

Mówimy dzisiaj o tym, ponieważ wzorem brytyjskich pism, wzorem dzienników i tygodników, uważamy, że mamy obowiązek upominania się o nasze prawa. Dały temu wyraz nasze czynniki urzędowe interweniując przeciwko zawieszeniu "Wiadomości." Dali wyraz dziennikarze uchwałą Związku. Dzisiaj, na łamach wojskowego organu, pragniemy dać wyraz temu samemu. "Wiadomościom Polskim" zaś, w których istnienie ciągłe nie wątpi przecież nikt z Polaków rozrzuconych po świecie, życzymy, by podobnie, jak przetrwały dwa wielkie kryzysy wojenne w roku 1939 i 1940, potrafiły przetrwać ten trzeci, może najbardziej smutny i najbardziej głęboki — kryzys wiary w zasady, o które walczą Zjednoczone Narody.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Zygmunt Nagórski, jr.

Dla Polaków w Rosji: £10,745

Redakcja "Polski Walczącej,"
W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £6 sh.10 d.8 złożoną przez żołnierzy III dyonu z dobrowolnych składek dekadowych w miesiącu styczniu r.b. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu
kapitan M.K.

* * *

P. John Piekło /Pittsburgh, USA/ z listem w sprawie poszukiwania rodziny wywiezionej do Rosji przesłał $1 /jeden dolar ameryk./. Równowartość 4 sh. 11 d. przeznaczamy na Polaków w Rosji.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £6.15.7 /słownie: sześć funtów, piętnaście szylingów, 7 pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,745.6.7 /słownie: dziesięć tysięcy siedemset czterdzieści pięć funtów, sześć szylingów i siedem pensów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

FUNDUSZ RATOWANIA DZIECI

Z okazji imienin ppłk. Aleksandra J. dowódcy b. 20 p.p. w Z.S.R.R. kwotę £15 z przeznaczeniem na pomoc sierotom wyewakuowanym z Rosji

przesyła grono oficerów
b. 20. p.p.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam 2 funty /słownie dwa funty/ ofiarowane przez dragona Walczaka z . . . Dragonów na pomoc dzieciom polskim w Kraju.

Oficer oświatowy J.M.St.

Sumę £17 przesłaliśmy do "Polish Children Rescue Fund."

NA POLISH RELIEF FUND

Redakcja "Polski Walczącej,"
w Londynie

Zawiadamiam, że Mrs. John Smith — Old Gala House, Galashiels /Selkirk/ złożyła kwotę 10 sh. na Polish Relief Fund /1 załącznik: Postal Order na sh. 10/.

podpis nieczytelny

ODCZYT ZYGMUNTA NOWAKOWSKIEGO

Staraniem Związku Dziennikarzy R.P. odbędzie się w Ognisku Polskim (45, Belgrave Square, S.W.1) we wtorek 29 lutego b.r. o godz. 18,00 — odczyt

Zygmunta Nowakowskiego

p.t.:

"POLSKA JAKĄ WIDZIMY."

Wstęp wolny.

KOMUNIKAT

Stowarzyszenie Służby Społecznej Kobiet Polskich w Zjednoczonym Królestwie, zawiadamia uprzejmie, że zapowiedziany Kurs Służby Społecznej, który miał odbyć się w terminie od 15 lutego do 27 marca b.r. zostaje odroczony do pierwszej połowy marca, wobec czego sekretariat Stowarzyszenia przyjmuje nadal zapisy na powyższy kurs. O dacie otwarcia kursu, nastąpią osobne zawiadomienia. Zgłoszenia należy kierować: piesemne na adres H. Wisłocka, 14 Strathray Gardens, N.W.3 — osobiste, we wtorki w godzinach 5,15 do 6,30 w bibliotece Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, S.W.1.

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej,"
5, Portugal St., London, W.C.2.

Przy niniejszym załączam wykazy książek, które jednocześnie zostały przesłane pod adresem Redakcji "Polski Walczącej" oddzielnymi przesyłkami pocztowymi /10 paczek/ z przeznaczeniem dla oddziałów W.P. na Bliskim Wschodzie.

Załączone wykazy zawierają:
Dział polski .... 43 egz.
Dział francuski ...... 153 egz.
Dział angielski ...... 181 egz.

D-ca Plutonu Propagandowo-Prasowego
por. M.O.

* * *

Bezimiennie dwa tomy Berlitza: "Method for teaching."

* * *

Przesyłam paczkę egzemplarzy pisma Panów dla naszych żołnierzy na Wschodzie.

Z poważaniem

J. Waga

* * *

Dla żołnierzy polskich na Wschodzie St. Reymont: "Chłopi" 4 tomy.

St.P.

* * *

Przesyłam w załączeniu dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie: 3 książki polskie, 10 broszur polskich, 5 książek angielskich.

Pułkownik X.Y.

* * *

St. Szyfman: "Ogólne podstawy elektrotechniki" od autora dla Armii Polskiej na Wschodzie.

* * *

Ogólna suma zebranych dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" książek dla żołnierzy Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie wynosi 3.521 książek.

Na "paczki od serca": £2,126

Dear Sir,
I enclose herewith a cheque for £40.7.6 /forty pounds, seven shillings and sixpence/ as a donation towards your Fund for Polish Prisoners of War.

This money consists of the fees of £1.1.0 per person, which was subscribed by the people who attended the Course of Lectures on Poland which was organised at the Polish Heart in November and December, 1943, by the Lectures Section of the Polish Ministry of Information.

Yours sincerely,
/Miss/ Clarissa Borenius

* * *

W załączeniu przesyłam money order na kwotę £34 sh.14 d.2 na "paczki od serca" dla jeńców sanitariuszy.

Kwota zebrana przez kompanię Sanitarną Brygady Spadochronowej.

Dr. J.M. por. lek.
Z-ca D-cy Spad. Komp. Sanit.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"
W związku z odejściem moim na inne stanowisko Szeregowi Szwadronu Łączności złożyli dobrowolnie do mojej dyspozycji kwotę dwadzieścia funtów, którą to całkowicie przeznaczam na jeńców wojennych.

kapitan Hieronim K.

* * *

Zamiast wieńca na trumnę ś.p. strz. Kaczyńskiego Michała kwotę £9.17.0 na "paczki dla jeńców" polskich w Niemczech składają

Dowódca, oficerowie i szeregowi Spadoch. Komp. . . . — panc.

* * *

W załączeniu przesyłam czek na £10 /dziesięć £/ złożone przez chorążego Or. S. z 3 Brygady strzelców 1. Dyw. Panc. z okazji awansu z przeznaczeniem na pomoc polskim jeńcom wojennym w Niemczech.

kpt. W.Fr.

Kochany Panie Redaktorze,
Przesyłam w załączeniu czek na £12.10.1½ /dwanaście funtów, dziesięć szyl., 1½ d./ zebrane w czasie występu Lotniczej Czołówki Teatralnej na naszej Stacji 7. lutego 1944, z prośbą o przekazanie tej kwoty na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

Oficer oświatowy S.P.P.

* * *

W załączeniu przesyłam Panu postal order na kwotę sh.17 z prośbą o przekazanie tych pieniędzy na rachunek "paczki od serca."

Kwota ta została zebrana w gronie kolegów 2. Baterii 3. P.A.T. Mot. celem zakupu książki i nie wykorzystana w całości.

Z góry dziękuję za uskutecznienie tej wpłaty, z szacunkiem

podpis nieczytelny

* * *

Proszę uprzejmie o przyjęcie tej małej kwoty pieniężnej /30 sh./ na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

Z poważaniem

E.W.

* * *

Jako uzupełnienie sumy £66 ogłoszonej w nr. 1 "Polski Walczącej" złożonej przez personel wojskowy i cywilny Wojskowego Instytutu Technicznego otrzymaliśmy dodatkowo £1.

* * *

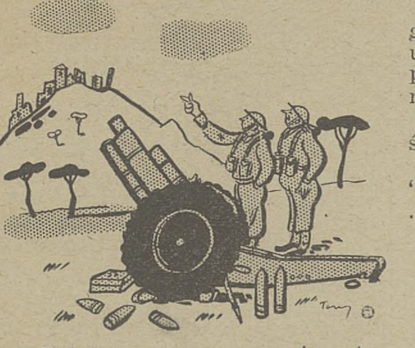
Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £130.15.9½ /słownie: sto trzydzieści funtów, piętnaście szylingów i dziewięć i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,126.4.1 /słownie: dwa tysiące sto dwadzieścia sześć funtów, cztery szylingi i jeden pens/ 50 milrejsów brazylijskich i dwa dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

. . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

NASI WE WŁOSZECH



—Feluś, co ci przypomina ten klasztor?
—Melduję panie kapitanie, że Tyniec nad Wisłą!
—Dlaczego?
—Też — ruina! . . .

ZMIANA HASEŁ

W związku z naprężoną sytuacją przyszłej Europy, wszystkie samoloty "Liberatory" mają być przezwane — "Intruderami" . . .

AKTUALNA ROZMÓWKA

—No jaka jest nasza sytuacja — zapytuje rodak rodaka.
—Lepiej!
—Poprawiła się?
—Nie — lepiej nie mówić!

DOWCIPNIŚ

Pewien żołnierz z "Czarnej Brygady" po raz pierwszy przybywa na urlop do Londynu. Zatrzymuje się przed "Rubensem" i zadaje pytanie znajomemu.

—Powiedz mi, dlaczego przed wejściem do hotelu stoi taki murek?

—To dlatego, ażeby duch "Reginy" nie wkradł się do wnętrza . . .

DZISIEJSZA PIELGRZYMKA DO RZYMU



Przewodnik kompanii: "Uważajcie, dziura w moście, żeby które nie wpadłoście!" . . .

W DYWIZJI KARPACKIEJ



—Przysięgam Bogu, że jak wrócę do Polski, to do ust już nie wezmę — "włoskich lodów" . . .

DOMYSŁY

—Ciekawy jestem, co Rosjanie zrobią z Królewcem, jeżeli co zajmą? Czy zmienią nazwę miasta, czy też nie!

—Naturalnie! Przezwą go — Carycyzm!

AUTENTYCZNE

—To jest niesprawiedliwe — mówi kapitan do porucznika — wy w Londynie macie większe pensje od nas w Szkocji!

—Tak, ponieważ my mamy dodatek.

—Jaki dodatek?

—Dodatek — bombowy . . .

TROSKLIWY TATUŚ

U państwa Goldzilberowiczów mały Izydorek bawi się strzelbą, czołgiem i samolotem.

—Czyś ty zwariował na stare lata? Co ty za głupstwa kupujesz dziecku! Ja chcę, ażeby Izydorek został kupcem, przemysłowcem! Z tego nie będzie miał businessu!

—A Napoleon nie zrobił interesu na wojsku? . . .

PRZESZKODA

—Czy ty wiesz dlaczego jeszcze nie zdobyto — Cassino?

—? ? ?

—Ponieważ każde Cassino jest — "*for officers only*" . .

PODSŁUCHANE

—A ja panu mówię, że Niemcy uderzą na wiosnę!

—Tak — głową o mur! . . .

W HYDE PARKU



—Ale à propos — czy ty mnie już nie kochasz?

OBLICZENIE NA OKO



—Panie szefie, na ile ocenia pan tego rodaka?
—Na jakieś 240 kuponów miesięcznie . . .

ODPOWIEDNIE WARUNKI

—Słuchajcie Rzepa — mówi szef do jednego z ułanów. — Wy powinniście wstąpić do komandosów! Tam się najlepiej nadajecie!

—Dlaczego panie szefie?

—Bo stale macie brudny pysk i szyję! W komandosach nie potrzebowalibyście się malować! . . .

MIŁOŚNIK MUZYKI

U "Lyonsa" w Londynie orkiestra gra wiązankę pieśni polskich. Do jednego z gości, który płacze, podchodzi kelner:

—Pan Polak?

—Nie — tylko muzyk! . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Wszystkie osoby, mogące dać jakąkolwiek wiadomość o mjr. sap. EUGENIUSZU KRZEMIŃSKIM, do wojny zamieszkałym z rodziną w Czortkowie, proszone są o nadsyłanie ich do Adm. "Polski Walczącej" dla inż. S. Januszewskiego.

Pisma na Bliskim i Środkowym Wschodzie proszone są o przedruk.

* * *

Rodzina Buczków poszukuje Romana Buczka, ur. 8.VIII.1923 r., syna Mikołaja i Heleny, który 24.II.1942 r. w Zołobacie /oktiobrskij rejon/ został przyjęty do Armii Polskiej.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.